

Z O F J A Z A L E S K A

WIECZNA WARTA

5

K S I A Ź N I C A P O L S K A

rygny 2 06 / w. 4. Kobiety
22. 12. 43
2/6

ZOFJA ZALESKA,

WIECZNA WARTA

OPOWIEŚĆ O POLSKICH KOBIECACH



KSIĄŻNICA POLSKA
242 HOPE ST., GLASGOW, SZKOCJA

*Koleżankom poległym
i żyjącym
poświęcam*



1582160

MINISTERSTWO
PRAC KONGRESOWYCH
BIBLIOTEKA

Nr. 2155.....

Printed in Great Britain by
William McLellan & Co. Ltd.
240 Hope Street, Glasgow, C.2.
Nineteen hundred and forty-two

SPIS ROZDZIAŁÓW

Wstęp	7
Rozdział 1. „Pani Doktor” — kapitan w. p. ś. p. dr. Zofja Zabawska-Domosławska	9
„ 2. W Warszawskim Klubie Wioślarek	12
„ 3. W Tatrach	16
„ 4. Na Huculszczyźnie	20
„ 5. Dobrana kompanja	26
„ 6. Przedwojenna praca	42
„ 7. W przysposobieniu kobiet do obrony kraju	51
„ 8. Mandaryni z pod Istebnej	53
„ 9. P. O. Trębacz obozu — „Wojtek”	63
„ 10. Po wybuchu wojny	66
„ 11. Padli na polu chwały	70
„ 12. Warszawa się broni	73
„ 13. Walka ze szpiegami	78
„ 14. Piękne życie — piękna śmierć	81
„ 15. Nikt im iść nie kazał... .. .	84

*Pisane : Londyn — Blackpool,
listopad — grudzień 1940.
Drukowane w „Głosie Polek”
w Chicago 1941 r.*

Niema jeszcze dwudziestu lat od czasu, gdy spisywałyśmy w różnych polskich organizacjach kobiecych pierwsze karty wspomnień o tych, które w służbie Ojczyzny wiernie trwając odeszły na Wieczną Wartę.

W walce o Wolność Kresów Polski padały gęsto trupem ciche, nieznanne szerokim masom Narodu bojowniczkami. I tylko ci, co z rubieży Rzeczypospolitej przeszli w ścieśnione Polski Wyzwolonej granice, w snach swych słyszeli nieraz głuchy łoskot rozstrzeliwań, masowo przez bolszewików dokonywanych na jeńcach, i widzieli odchodzące na nocną kaźń cienie mordowanych. Czasem na daleką nieznaną mogiłę, obcym zaoraną pługiem, z polskiego nieba padał blask : przez Wolną Ojczyznę nadany krzyż *Virtuti Militari*.

A czasem bywało inaczej. Zdarzało się, że gdzieś tam, w polskiej mieścinie z klasztornej podwórca wychodził pogrzeb. Widziałam taki pogrzeb : w prostej drewnianej trumnie wieszono zakonnice, która przez kilkanaście lat po wojnie dzieci w ochronce uczyła. Ale ten pochód żałobny w miasteczku wzbudzał ogromne zdumienie : za krzyżem, na aksamitnej poduszce niesiono Krzyż Walecznych, przed trumną tej zakonnicy szedł pluton polskich żołnierzy, a na cmentarzu żegnała ją pułkowa orkiestra : „Śpij, kolego, w ciemnym grobie — niech się Polska przyśni Tobie...”. Dopiero wtedy okolica dowiadywała się, że ta skromna, pogodnie uśmiechnięta zakonnica to był porucznik wojsk polskich — Olga Stawecka, która po wojnie i stracie młodszego brata-żołnierza habit włożyła.

Czas cieniem zapomnienia pokrywał bohaterskie dzieje. Odchodziła coraz dalej pamięć nazwisk. Legendę o Lwowskich Orłętach wryto szeregami imion na cmentarzu Obrońców — o rozsianych po całej Polsce mogiłach mało kto pamiętał.

Z dalekich pól Ukrainy, z pod Winnicy, Żytomierza, Mińska, Kijowa, z dalekich, nieznanych mogił, rozsianych wszędy, kędy tęsknotą myśl wybiegała, szły ku Wyzwolonej Polsce coraz cichsze głosy padłych w walce o Nią obrońców.

Usłyszały je wierne serca: w Muzeum Zasłużonych Polek we Lwowie do spisu „Kladynek”, „Serdecznych Polek”, „Cichych Bohatek 1863” przybyły grube tomy udziału kobiet polskich w walkach o niepodległość 1914 — 1920 roku.

Mocny Boże! Któż wówczas przypuszczał, że do tych kart przybędą tak rychło nowe nazwiska...

Przybyły — i z serca krwawym bólem przepełnionego trzeba wydobyć słowa godne poległych. Żywych to wobec umarłych obowiązek, stawić ich postaci przed oczy rodakom i obcym.

Obowiązek tem większy, że dziwnym rzeczy obrotem ludzie chętniej pamiętają i wypominają tę pianę, co po wierzchu pływa, niż nurt głęboki, istotny życia tysięcy i tysięcy.

Nad brzegiem morza stojąc, widzi się przedewszystkiem pieniste grzywy fal na piasek nadbrzeżny spływających. Fala podbiega, uderza i odpływa. Na wybrzeżu zostaje piana. Brudno-szary, gąbczasty i lekki, jak puch, wał piany tkwi na piasku długo. Tem dłużej, im fala jest wyższa, mocniejsza, głębsza, im z większą wściekłością bije o brzeg. Wiatr nieraz długo jeszcze po uspokojeniu się morza toczy po piasku oderwane kulki tego pienistego puchu. Tę pianę się widzi, — o fali i jej nurcie zapomina. Choć piana ginie, — a fala trwa czysta i mocna.

Z fali tej wypływa ku mnie jasna i czysta postać „Pani Doktor” — kapitana wojsk polskich, kawalera żołnierskiego Krzyża Walecznych — ś. p. dr. med. Zofji Zabawskiej-Domosławskiej i innych druhów moich z Wiecznej Polskiej Warty.

1. Pani Doktor.

Jakże tu pisać o Tobie, Doktorze, Druhu Serdeczny, gdy każde słowo zdaje się być tak nieudolne w wywołaniu Cię przed oczy tych, którzy Cię nie znali.

Dwadzieścia lat temu przedzierałaś się przez bolszewickie mrowie z Kijowa do Lwowa — Zofja Zabawska, młodzianka medyczka kijowskiego uniwersytetu. Na słupach i murach po drodze spotykały Cię groźne obwieszczenia: „Wsiem, wsiem...” *) wiadomo czyniące, że każdy, kto by spotkał uciekinierkę, miał ją odstawić do najbliższej czerwonej komendy. „Dieziertir, zauriad wracz 5-oj armiji sowietskawo sojuza — Sofja Zabawskaja” **) miał być bez sądu rozstrzelany. Jako świeżo ukończony medyk, Zabawska otrzymała rozkaz, powołujący ją do służby wojskowej w idącej na Polskę czerwonej armji, — na drugi dzień zniknęła z Kijowa. Bolszewicy wysłali za nią listy gończe. Te obwieszczenia goniły ją w czasie całej ucieczki do Polski.

Przedtem nie mogła przejść do wolnej Ojczyzny córka bujnych stepów Ukrainy. Wyczerpaną głodowaniem w czasie rewolucji, pracą na uniwersytecie i konspiracyjną robotą polityczną studentkę zwałił tyfus właśnie wtedy, gdy z Kijowa odchodziły do Polski ostatnie ewakuacyjne pociągi. Wtedy to Bóg zesłał jej, samotnej i chorej, drugą matkę: nie pojechała do Polski pani Krzyżanowska, matka młodszej koleżanki, z którą mieszkała w Kijowie, —

*) Po rosyjsku: „Wszystkim, wszystkim, wszystkim...”.

**) Po rosyjsku: „Dezserter, pełniący obowiązki lekarza 5-ej armji Radzieckiego Związku”.

została, by pielęgnować ją nieprzytomną w długich tygodniach choroby. I młodziutka medyczka zapisała to sobie we wdzięcznym sercu i oddawała później przez całe życie, jakby matce rodzonej. Już nie rozstały się ...do końca.

Ileż to setek kilometrów szła latem 1920 roku za wozem, wiozącym „chorą matkę” młoda wieśniaczka z bujnymi warkoczami, w których splotach ukryte były raporty kijowskiej „Polonji”. Ileż to razy zaczęły was strażę, uspakajane śpiewnym, kresowym akcentem pewnego siebie tonu tłumaczeń i znajomością drogi. Za tobą zostawał Kijów, miasto Twej młodości, Twej upartej wytrwałej nauki i pracy w akademickiej „Polonji”. Kijów, którego zaułki przemierzały młodzieńcze postacie, znikające w robotniczych mieszkaniach, by tam mówić o Polsce. Kijów, gdzie wykradaliście wrogom dokumenty i pieniądze dla przedzierających się na Murmań polskich żołnierzy. Kijów, gdzie patrzyłaś na śmierć narzeczonego, zamordowanego przez bolszewików. Zostawała Odessa, do której jeździłaś jako kurjerka. I już tak niedaleko polskiej granicy zostawał Żytomierz, gdzie zdawałaś maturę.

A w kraju... pamiętasz? Jakże ciężkim, osłupiałym ruchem stanęła dnia pierwszego maja przed polską stacją kolejową ta młodziutka lekarka z bolszewickiego Kijowa ku wolnej Polsce idąca, z polskiej ziemi niewolnej do ziemi wolności, gdzie jeno 2/3 dawnych ziem Rzeczypospolitej zdołało uchronić się przed losem Ukrainy. Pamiętasz? Był pierwszy maj — robotnicze święto. Polska Partja Socjalistyczna wyległa na ulice. Ujrzałaś zwisające czerwone sztandary i to samo na transparentach hasło, którem bolszewicy mamili robotnicze tłumy: „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się!” — Jakby obuchem w głowę uderzona, wpatrywałaś się z rozpaczą w ten napis, sądząc, że wszystko stracone, że w Polsce też już rządzą rady czerwone, w ślad za katami Ukrainy idące.

Ale jakimże blaskiem paliły Ci się oczy, gdy stanęłaś do meldunku przed polską władzą wojskową. Z jaką czułością patrzyłaś na swój polski dokument lekarza. Nie zbrakło Ci sił do ciężkiej pracy w barakach dla epidemicznie

chorych żołnierzy. Wielu z nich wywieszało — w cywilu będąc — czerwone chorągwie, ale gdy wróg na Polskę szedł, choć niby to te same hasła wyzwolenia proletariatu głoszący, — szli umierać za wolną Ojczyznę.

Nie było wtedy w Polsce socjalistów i narodowców, wyzwolenców *) i ludowców, postępowców i konserwatywistów, — byli tylko polscy żołnierze. Była tylko jedna walka — o Wolność. Reszta była nieważna, nieistotna... jak dziś. Żołnierz, powstaniec, ochotnik nie pyta, za jaką Ojczyznę walczy, — on się bije z najeźdźcą. Lekarz nie pyta chorego o jego przekonania polityczne, — on go leczy.

Dr. Zofja Zabawska była i lekarzem i żołnierzem. Leczyła z zamilowania, z powołania, nie mogąc znieść cudzego bólu, krzywdy, nieszczęścia. Walczyła przez całe swoje młode życie, nieustępliwie, wytrwale, bez kompromisów.

*) Radykalna chłopska partja „Wyzwolenie”.

2. W Warszawskim Klubie Wioślarek.

Ledwie skończyła się wojna, ledwie przeminęły epidemie duru, hiszpanki, czerwonki, przerwane olbrzymim wysiłkiem lekarzy, „pani doktor” zabrała się do zapobiegania chlerlactwu powojennego pokolenia młodzieży.

Zeszły się wtedy nasze drogi w Warszawskim Klubie Wioślarek.

Dwa były wówczas takie górnice się noszące ośrodki wychowania fizycznego kobiet w Warszawie: pierwsze gniazdo żeńskie Sokoła — „Grażyna” — i pierwszy (w roku 1912 założony) kobiecy klub sportowy, od inicjałów swych: W.K.W. dzwicznie z chińska przezywany: „Wukawu”. Sokolice z bronią w ręku wartowały u wrót Warszawy w r. 1920-m. W.K.W. wystawił w r. 1918-20 trzy czołówki sanitarne i chlubił się cytacją w rozkazie dowództwa armji za Mińsk Mazowiecki, za Lidę i Barańowicze.

— Cóż, dobra jest ta wasza gimnastyka, skoro niema nic lepszego, — mówiła pani doktor zapraszana do Sokolic na wykłady o higienie osobistej i społecznej. — Ale grunt to wioślarstwo, harmonijnie rozwijające wszystkie mięśnie, — a zwłaszcza połączone z pływaniem, przy którym woda odrazu zmywa pot i oczyszcza skórę.

I kropiła cały wykład dodatkowy o znaczeniu jadów przez skórę wydzielanych, o jej samoczynnem działaniu w kierunku uzdrawiania organizmu, o oczyszczaniu porów przez wodę, o działaniu powietrza i słońca na nieosłonięte odzieżą ciało. Skutek był taki, że Sokolice waliły hurmą do Wioślarek uczyć się życia na wodzie i pod wodą, aż całe „wodne gniazdo” Sokoła nad Wisłą wyrosło.

A w W.K.W. nowe powojenne pokolenia młodzieży zaśmiewały się nad fotografjami „pionierek” kobiecego wioślarstwa, które przed niedawnymi laty (rok 1912—1914) na Wisłę wyjeżdżały w długich sukniach i kapeluszach (bodajże i w gorsetach) i tam dopiero, gdzieś na łasze rzecznej, zdejmowały odzież, by kusym wioślarskim garniturem nie gorszyć miejskich gapiów.

Zabawskiej, którą wioślarki rychło na stanowisko prezki wyniosły, nigdy nie było dość członkiń i łodzi. Pod jej rządami klub rozkwitał. Składki 700 członkiń i hojna kieszeń prezki pozwalały na zakup coraz to nowego sprzętu. Stały nad rzeką hangary z pięknymi rasowymi łodziami, przybył dźwig oszczędzający wnoszenia ich na wysoki brzeg, stanął warsztat reperacyjny, przybudowano solarium i skrzydło do pawilonu głównego.

Wszystko to zostało spalone i zbombardowane w bitwach o Warszawę we wrześniu 1939 r. Ale wtedy, przed wojną, przystań tętniła ruchem od wczesnej wiosny do późnej jesieni. Oprócz członkiń kilkaset uczennic szkół średnich przewijało się w radosnej nauce życia w słońcu i na wodzie, konkurując o lepsze z miejskimi ośrodkami sportów wodnych dla dzieci szkół powszechnych.

Jakimże to anachronizmem brzmi dziś ta piosenka, jaką Sokolice aż do swego obozu przysposobienia wojskowego na Pomorzu pod Redłowem zawiozły:

— „*A przeróżne starowiny
oburzone robią miny
na ubrania męskie,
grunt spodnie.*”

W.K.W. stawał do regat w całej Polsce i zwyciężał. Nosił się przeto górnice i na sejmikach wioślarskich „fason trzymał”, jak się patrzy.

Bywało to solą w oku A.Z.S.-owi (Akademickiemu Związkowi Sportowemu), który też czasem wyskakiwał z konceptami ni w pięć, ni... w trzydzieści. Jakże to do żywego dopiekl nam kiedyś podczas zawodów w Warszawie żart A.Z.S., którego kilku członków przebrało się za ko-

biety i nałożyło sobie odznaki ludzaco podobne zdala do biało-granatowych tarcz W.K.W., zaopatrzwszy się przytem w wiosła o biało-granatowych piórach. Sprawca tego konceptu tłumaczył się później twierdzeniem, że pióra były biało-zielone, tylko „zdaleka wyglądały na granatowe”.

W pełnym zapale regatowym wobec zgromadzonych na obu brzegach tłumów nagle ukazała się na rzece łódź z osadą „kobiecą”, wydającą histeryczne okrzyki rzekomego zmęczenia, ze sternikiem, który kubłem wody oblewał rzekomo mdlejące „wioślarki”.

Pamiętam ten błysk oka, jakim naczelniczka W.K.W.—Halina K. spojrzała na Zabawską i na widok olbrzymiej przykrości malującej się na jej twarzy bez namysłu wskoczyła w łódź i „dowcipnych” kolegów wzięła do niewoli. Wprawdzie wieść niósła, że złamała im przy tym jedno wiosło, ale miała pełną satysfakcję wypalenia im reprimendy przez sędziego.

Dla prezeski W.K.W. każda próba obniżenia poziomu klubu była dotkliwą „zniewagą barw”. I słusznie. W.K.W. był jej chlubą i wytchnieniem po ciężkiej orce w szpitalu i gabinecie lekarskim. To był teren, na którym pragnęła wychowywać młodzież w etyce sportowej, którą uważała za jedną z dróg ku kształceniu charakteru. Wskazywała przytem na przykład Anglii, gdzie „fair play” stała się zasadą nie tylko w sporcie, ale i w „grze życia”. Za punkt honoru Zabawska uważała sobie zmierzenie się z Angielkami na Tamizie.

I przyszedł wreszcie ten rok, w którym Polki wyruszyły na zawody do Anglii. Miałyśmy przedtem regaty w Bydgoszczy. Jakże żywo widzę przed sobą Zabawską ze zmarszczonymi pod silnym wichrem brwiami wpatrzoną w łódź, która na kanale bydgoskim musiała ciężko walczyć o pierwszeństwo z klubem poznańskim. Na drugi dzień prezeska, z naczelniczką, sekretarką klubu i 5-ma wioślarkami wyjechała do Londynu. A w dwa tygodnie potem czytałam z radością i dumą angielskie gazety, donoszące o „niesłychanym zwycięstwie” Polek nad Angielkami na Tamizie. Miałyśmy wtedy świetną prasę w Anglii! Jakże, na nieznanej

sobie rzece, przy silnym wstecznym wicherze Polki po paru dniach treningu pobiły zespół krajowy narodu wioślarzy. Co więcej, Angielki zażądały rewanzu, dostały go na drugi dzień przy Tower Bridge i znów zostały zwyciężone. Przewaga Polek stała się niewątpliwa. W Anglii to nie byle co.

I trzeba zdradzić tajemnicę, że na tę imprezę Zabawska wyłożyła moc pieniędzy z własnej kieszeni.

A nie przelewało się jej z pieniędzmi, — co miała to wyharowane własną pracą. Harowała od świtu do nocy. Rano szpital Dzieciątka Jezus, potem oględziny i porady dla uczennic szkół zawodowych, dwie godziny wypoczynku zajętego czytaniem gazet i obiadem; od godz. 4-ej po południu przyjęcia w domu do wieczora, wieczorem zebrania: lekarskie w stowarzyszeniach i Izbie Lekarskiej, w Radzie Naczelnej Wychowania Fizycznego, w stowarzyszeniach kobiecych proszących o odczyty. Od godz. 11 w nocy do 2 po północy własna nauka, ustawiczne śledzenie nowych odkryć wiedzy medycznej, opracowywanie referatów na zjazd, programów wychowania fizycznego kobiet. Toż bodaj w r. 1937 był w Edynburgu wygłoszony jej referat o postulatach wychowania fizycznego kobiet na zjeździe Międzynarodowej Federacji Kobiet z Wykształceniem Uniwersyteckim.

Przy swem wypełnionem pracą życiu Zabawska zdobywała siły i zdrowie w sporcie wodnym w lecie, a narciarskim w zimie. W soboty i niedziele wyruszała na wodę, na Boże Narodzenie i Wielkanoc W.K.W. wyjeżdżał w góry.

3. W Tatrach.

Przez kilka lat jeździło się w Tatry. Początkowe kroki stawialiśmy — oczywiście — na Gubałówce, na Kalatówkach i Kondratowej, ale później... przez Goryczkową na Gąsienicową albo przez Cichą Wodę do szałasu Bronki Polankowej — mistrzyni narciarstwa, góralki, która była też członkiem W.K.W., a od niej na Kościeliską i dalej dopiero wirchami, wirchami, aby dalej od ludzi. Czarny Staw, Morskie Oko, Dolina Pięciu Stawów... — Nosiło naszą gromadę po caluńskim górskim śniegu.

Och, jakimże zdrowym śmiechem wybuchały narciarzki z W.K.W., gdy naprzykład spotkani po drodze na Łysej Polanie Warszawiacy twierdzili że im... „w górach ciasno”. Siedziało to bractwo po Zakopanym, w Kuźnicach, ba! sypiało — sankami dojechawszy — w schroniskach na Chochołowskiej, „nawet” przy Morskiem Oku i patrzyło na zastępujące im drogę górskie olbrzymy.

Zabawska rozpoczynała zaraz wykład o znaczeniu narciarstwa dla zdrowia i o leczniczych własnościach gór dla psychiki człowieka, a Halina K. proponowała z niewinnym uśmiechem: — Niech państwo idą z nami. — Na szczęście państwo nie zdradzali wcale ochoty włóczyć się po górach z takim zakazaniem towarzystwem, które cały dobytek dźwigało w plecakach na własnych barkach i ruszało o śniegu jakimś Halinie tylko znanymi szlakami w „dzikie ostępy”.

Czasem to naprawdę groźnie wyglądało, gdy kędyś zapała tę gromadkę burza śnieżna. Były takie dwa dni i dwie noce, kiedy bractwo dobrnąwszy z trudem do jakiegoś zasypanego śniegiem szałasów na stoku góry, ugrzęzło w nim bez możliwości wyjścia. Wichura była tak okrutna, że drzewo trudno było otworzyć. Kiedy wreszcie wobec spaleni ostat-

niej szczapy drzewa Halina wybrała się z siekierą do płota, by urąbać zeń parę palików na opał i... oświetlenie, musiała trzymać się tego płota z całych sił.

Niecnota nasza polonistka, zamiast iść jej na pomoc, filozoficznie przyłożyła nos do szpary w ścianie i obserwując jej wysiłki, deklamowała Staffowskie poezje:

*„Chodzi sen pod oknem z cicha,
a drzemota koło płota . . .”*

„Drzemota” Halina chodziła jednak koło swej roboty póty, aż przytaszczyła wcale okazały palik i to nie jeden.

Była też pewna Wigilja w Zakopanem... Zebrało się nas parę różnych rozbitków życiowych, którzy nie chcieli zasiać do zbyt osieroconego w swych domach stołu. Taki to był „czarny rok” w naszej gromadce. Jedna straciła nagle w ciągu godziny troje krewniaków, w tem dwoje dzieci brata, jak swoje kochanych. Druga w ciągu roku pochowała czworo najbliższych. Trzecią spotkało nieszczęście gorsze, niż śmierć czy kalectwo kochanego człowieka. Naturalnie Zabawska stawiała je na nogi psychicznie i fizycznie, a na Boże Narodzenie — te najboleśniejsze dla osamotnionych święta — zabrała je w góry.

W sumie do Wigilji zasiadło nas 17 wioślarek i sokołic z Bronką Polankową i narciarskim „wujkiem” — instruktorem dwóch pokoleń narciarzy — Ritterschildem do kompletu, nie licząc mego 7-letniego wówczas synka, „grającego” cały czas koledy na gramofonie.

Po wieczery Bronka wyskoczyła na dwór i po chwili z wielkim dzwonieniem brzękadeł zajechała sankami.

— Pakujcie się. Niebo, jak pas góralski, nabite gwiazdami.

Pojechałyśmy wtedy z Zabawką daleko, długą leśną drogą ku dolinie, z której otworzył się nam widok na baśniowy świat Tatr. Nad głową granatowe roziskrzone od gwiazd niebo, przed nami dookoła szczyty gór zalane światłem księżycy, biało-srebrne, jakby płynące ponad granatowymi cieniami swych podnóży; w dolinie otulone w śniegu świerki, zwieszające srebrzyste okiście, pod nogami chrzeszczący w djamentowych skrach śnieg. I ta cisza gór, odwiecznych,

niewzruszonych, z których szczytów tak małe, tak znikome wydają się targające ludzkimi sercami burze.

— Dusza w człowieku cichnie — szepnęła Zabawska.

Sama niezwykle wrażliwa na piękno górskiej przyrody, wysyłała w Tatry swoich pacjentów, jeżeli tylko ich stan na to zezwalał. Wysyłała takich, którzy musieli przede wszystkim odzyskać siły duchowe, zdarte ciężkimi przejściami, jakich niektórym ludziom i bez wojny dziwnie nie szczydzi życie.

Pani doktor miała szczególne szczęście do takich pacjentów. Leczyła nietylko ich ciała, ale i dusze. Jak delikatnie kojąca była jej ręka na czole miotającego się w bezsilnej rozpacz człowieka, jak silne z najgłębszych pokładów serca wydobyte słowa, uśmierające ból duszy. Jak wnikliwie umiała przejrzeć psychikę. Surowo i krytycznie przemawiała do rozsądku tym, którzy „pieścili się” z bólem, ale dla dotkniętych istotnem nieszczęściem i walczących z niem twardo miała ton i słowa pełne niewypowiedzianej słodyczy i zrozumienia.

Ileż to razy pochyłona nad udręczonym człowiekiem mówiła mu o wielkości cierpienia. — „Nie urośnie, kto bólu nie zna. Tylko przez ból dochodzi się do zrozumienia praw psychicznych i pojmowania innych dusz. Wielkości uczuć nie zdobywa się bez cierpienia. Trzeba z niego wyrosnąć, trzeba je samemu przerosnąć, by je opanować. Kto podda się cierpieniu, ten pod niem upada”.

Wysyłała nieszczęśliwych w góry lub nad morze. Kazała im patrzeć nocami w niebo gwiaździste i myśleć o ogromie wszechświata. Wkładała im w ręce książki o... podróżach do bieguna i walce z przyrodą, o samotnych podróżnikach oceanowych i o zwiedzaniu podwodnych głębin, o bohaterach nauki walczących z głodem, śmiercią i klęskami chorób epidemicznych. Wyrwała ludzi z kręgu ich osobistych przeżyć.

Dawała im ze swej bogatej duszy tyle, że co pewien czas musiała sama uciekać zdala od ludzi, by odzyskiwać własne siły. Mocy dla siebie szukała w górach, w samotności dobranego zespołu przyjaciół.

Wygnała nas jednak z Tatr katastrofa ...kolejka na Kasprowy.

— To już nie Tatry, to Saski Ogród w sobotę po zamknięciu sklepów — mówiła Zabawska.

Zrobiło się „cywilizowanie” i tłoczno. Co gorzej, pojawiły się „upiory Kasprowego”. Była między nimi — pożał się Boże — jedna wioślarka.

— Siedem razy dziś zjechałam z Kasprowego — ogłaszała dumnie.

Jak ona to zdążyła zrobić i na co jej to było potrzebne — nie mogłyśmy zrozumieć. Spalona słońcem na czerwono („upiór”) pędziła do kolejki, ledwie stanęła na szczycie, przypinała narty i zjeżdżała wdół, by znów sankami gnać do kolejki i — da capo al fine.

— Kolejka padła jej na mózg — stawiała diagnozę Halina.

Do kompletu doszły epidemie wcale groźnych złamań nóg, jako że lada patałach wjechawszy kolejką na szczyt, uważał, że równie łatwo zjedzie wdół na nartach, a gdy mu się to przypadkiem udawało, walił w góry „na pewniaka”, uważając wszelkie ostrzeżenia doświadczonych narciarzy za „grubą przesadę”.

Zabawska musiała nieraz ratować zwichnięte kolana, zerwane ścięgna w stopach, pęknięte kości. — „Przecież ja na odpoczynek tu przyjechałam, a nie na praktykę” — irytowała się, zabierając się do zabiegów. Irytację pokrywał wnet łagodny uśmiech i delikatne dotknięcie ręki do bolącego miejsca. Przerażony początkowo marszem „pani doktor” pacjent po kwadransie wodził za nią oczami, jak... każda z nas, które tylokrotnie zawdzięczałyśmy jej ratunek w chorobie.

Kolejka — upiory — połamane patałachy wygnały nas z Tatr na Huculszczyznę. Ale to już zupełnie inny „gatunek” gór, — Tatr nie zastąpi. Tylko na Czerwonych Wierchach, na Zawracie, Krywaniu można zrozumieć, że

*„Kto raz się wdarł na szczyty i czołem sięgnął chmur,
ten wiecznie tęsknić będzie do niebotycznych gór”.*

Wracałyśmy też do nich niejednokrotnie.

4. Na Huculszczyźnie.

Na Gorgany i Czarnohorę *) poszłam z Zabawską pierwszy raz po śmierci jej siostry. Lekarka, która patrzyła bezsilnie, jak zgasło nagle młode życie pięknej, rwącej się do świata dziewczyny... Zatrzymało mi się pióro przy tej nazwie. Trudno tem mianem określać nieustrudzoną badaczkę, kończącą poważną pracę naukową. Miała ona za sobą chlubną służbę hareerską w okresie walk o niepodległość i ta jasna postać, która z wielkich ram portretu przed biurkiem Zabawskiej patrzyła stale na nią, pozostanie w moich wspomnieniach zawsze dziewczątkiem, które starsza siostra kochała, jak córkę. Niestety spadło nagle. Ot, pozornie głupstwo: operacja ślepej kieszki. W trzy dni był koniec.

Lekarka po tej tragedji przestała znosić koło siebie ludzi. Zamykała się w samotności. Wreszcie namówiono ją, by wyjechała, zmieniła otoczenie. Halina wywiozła ją na Huculszczyznę. Po paru dniach wezwała mnie kartką.

Przemierzaliśmy wtedy wzdłuż i wszerz cały ten barwny huculski świat. Było lato, czerwiec gorący, burzliwy, napętniający nagle górskie potoki wezbranymi wodami. Wychodziliśmy nieraz o świcie przy najpiękniejszej pogodzie, by w południe ujrzeć nagle gdzieś w kotlinie wylazłący z za góry ciemno bury łeb wielkiego chmurzyska, które na poczekaniu zaczynało warczeć na drugiego potwora ukazującego się pobok i walić w niego strzałami piorunów.

*) Pasma górskie w Beskidzie Wschodnim.

Góry gadały do siebie odgłosem gromów, a my skulone gdzieś na stoku, wpatrzone w groźny widok, filozoficznie znosiłyśmy rozpętującą się ulewę, nie pozostawiającą na nas suchej nitki.

Kiedyś wybrałyśmy się do Kosmacza na święto Apostołów Piotra i Pawła obchodzone tam uroczyście. O 6 rano wyszłyśmy z Tatarowa, o 8 wieczór stanęłyśmy w Kosmaczu, odwaliwszy na przełaj przez góry 38 kilometrów z dwugodzinnym odpoczynkiem w południe. Ależ nas Halina zagnała! Nadrabialiśmy miną wszystkie, ale gdy w zajęzdzie stanęła nareszcie przed nami misa wody i dzbany z wrzątkiem — nawet pierwsza zawsze do mycia Zabawska zaproponowała mi pierwszeństwo w kolejce. Ręką, nogą nie chciało się nam ruszyć.

Nie przypuszczałam wtedy, że o kilka lat starsza i chora będą szła tą samą drogą w mroźną noc zimową 1939 roku, w śniegu i wichrze ku węgierskiej granicy. Riza, Worocheński, Kukul — tylko po nim ta moja druga droga skręciła na zachód, na Kiczere i Dobry Werch. Jakże ustawicznie migąła mi wtedy w oczach zwinna postać tyloletniej przewodniczki — Haliny z jej ptasiem wyczuciem kierunku.

Jakże żywo w tę mroźną noc widziałam na Kukulu tamten słoneczny dzień naszej z Zabawską włości, kiedy to z zarośli na dole wyszła nagle naprzeciw nas bajecznie kolorowa huculska dziewczyna i bosemi nogami wbiegała na górę po kamieniach, jak kozica szybko. My dziwiłyśmy się, że ją bose nogi po kamieniach nie boją, — ona wycudowała się na nasze grube podkute buty, twierdząc, że w takich toby ją dopiero nogi bołały.

A nasz marsz Drogą Legjonów po spróchniałych, chwiejących się nad przepaściami mostach, świecących gęsto wyrwami, kiedy trzeba było nieraz po jednej belce nad głębiną wąwozu przechodzić.

A ten cudny słoneczny dzień w Kosmaczu, kiedy setki bajecznie kolorowego huculskiego ludu ściągało ze wszystkich okolic na odpust i tylko mieniły się w oczach złote guziki, czerwone, pomarańczowe, żółte, purpurowe, złotymi nićmi przetykane zapaski, sućto haftowane serdaki, nabijane srebrem pasy, mosiężne cyzelowane ręcznie siekierki lasek, białe koszule chłopów, wypuszczone na czarne lub czerwone spodnie, burakowe skarpety z żółto-niebiesko-czarnymi u góry szlakami.

Zabawska chodziła między tym tłumem, jak oczarowana jego malowniczością. A już od dida-lirnika oderwać jej nie było można.

— Jak na Ukrainie — mówiła zachwycona. — Takie to barwne, a jednak tak zupełnie inne. A ten lirnik to żywcem z Sienkiewicza wyjęty.

Siedział tam pod murem kościelnym siwy, jak gołąb „did” z długą po pas brodą, z lirą na kolanach i śpiewał przy jej dźwiękach jakąś huculską balladę, żywo przypominającą Pana Zagłobowe pieśni podczas ucieczki z Haliną z Rozłogów do Baru.

Zabawska rozmawiała ze wszystkimi, pozawierała znajomości z gospodyniami. Zaprosiła nas do swej chaty Anna, „żinka Łesia” (żona Łesia), dorodna młoda Huculka, by pokazać cudnie haftowane ręczniki i bogate fartuchy, które tam za spódnice służą, jeden z przodu, drugi z tyłu na koszuli uwiązany. Zabawska — oczywiście — zakupiła zaraz kilka. Kiedy się kobiety zwiedziały, ujrzawszy nas z przewieszonymi przez ramię tkaninami, że one tak nam się podobają — zaproszeniom nie było końca. I nie po to, by nam sprzedawać, tylko by nam pokazać, że są jeszcze piękniejsze. Sprzedawać to się tam bardzo nie kwapia, — chyba, że się zamówi robotę, bo gotowe są na własny użytek potrzebne.

Huculi mają w sobie, jak wszystek wolny lud górski, szlachetną dostojałość. Są między nimi różnice — i to

ogromne — we własności: jeden siedzi na kilkudziesięciu morgach, drugi na kilkunastu, a trzeci na kilkuset, nawet wyżej tysiąca, — ale wszyscy jednakowo ubrani chodzą i jednakie mają obyczaje.

Stała przy nas kobieta siwa, dorodna, choć już pomarszczona, pięknie ubrana, ze sznurami koralu i srebrnych monet na szyi, ale bosa. Przy niej dziewczuszka jak dwie krople wody podobna. Na „tłokę” nas zaprosić przyszła, na huculskie dożynki. Miała ta bosa pani 900 morgów gruntu — wszystkie wiano tej wnusi jedynej, którą rodzice odumarli i tylko babka chowała. Takich dożynek, jakie ona wyprawiła, nie powstydziliby się niejeden szlachecki dwór w dawnych czasach.

Istotnie, jak te pradawne huculskie chaty z podsieniami, obwiedzione jakby ostrokołem z grubych bali, z poczerniałymi ze starości ścianami, z rzeźbionym pięknie sprzętem, z mosiężnymi dzbanami i misami, rozjaśnione, jakby kwieciami, barwistym przyodziewkiem domowników, z pasiastymi kilimami na ławach za łóżka służących, — tak wyglądać musiały dawne rycerskie stajnie na Dzikich Polach pod pana Wołodyjowskiego z Baską rządami. Złudzenie stawało się tem większe, gdy do izby takiego huculskiego dworzyszczka, zwiedzanego przez nas, wchodził nagle czarnowłosy o ognistych czarnych oczach i czarnym wąsie — istny Bohun, syn właścicieli i przyjaciel jego, błękitnooki i złotowłosy, jakby żywcem ze Stachiewiczowego portretu zstępujący.

Przez całe polskie góry idąc, od Tatr aż po Czarnohorę, napotyka się na takie sprzeczności typów i taką różnorodność, że najpiękniejsze postacie stają tam obok brzydkich kalek i nieudolnych tworów mściwej jędry przyrody.

— „Przyroda ma dwie postacie — mawiała Zabawska. — Jedna to ta potężna, wspaniała, piękna, którą najczęściej paczy człowiek swoją rzekomą cywilizacją. Jej siła objawia się w burzy, w wybuchach wulkanów, wylewach

rzek, posusze, tektonicznych trzęsieniach ziemi. A druga to ta złośliwie przedrzeźniająca człowiecze czyny, która mściwie karze dzieci za czyny rodziców i kładzie na nich piętno do dziesiątego pokolenia”.

I zaraz szedł wykład o hormonach i zatruciach jadami, przenikającymi do tkanek mającego powstać noworodka, o przyczynach epilepsji, głuptactwa, „złośliwego charakteru” i t. p. z dziedzictwem krwi zatrutej przychodzących obciążeniach. „Pani doktor” była niezmiernie w szczeniu wiedzy o zdrowiu i harmonijnym rozwoju człowieka.

Z Kosmacza wracałyśmy do Tatarowa konno. Huculi mają siodła drewniane z cudnie rzeźbionymi mosiężnymi strzemiętami. Nakryłyśmy te siodła miękkimi kilimkami z białej jagnięcej wełny o jedwabistym połysku, przymocowawszy je popręgami. Przewodnik — stary Hucul obiecywał nas „krótszą” drogą doprowadzić do Mikuliczyna. Ta rzekomo krótsza droga wywiodła nas w takie leśne haszcze i stromizny, że wspominałyśmy potym zawsze tę podróż, jak naukę wyższej szkoły jazdy. Stary tłumaczył się, że „nieco” zapomniał kierunku, bo... Jak się okazało, jego pobyt w Mikuliczynie datował się z przed laty dwudziestu!

Mimo zmęczenia rade byłyśmy z tej jazdy, bo natykałyśmy się co chwila na różne górskie zwierzęta — zdaje się — z równym zaciekawieniem obserwujące nas, jak my ich. Staje mi w oczach widok Zabawskiej na koniu zatrzymującej się nagle na skręcie drożyny nad potokiem i patrzącej zachwyconym wzrokiem na sarnę pijącą wodę z nadstawionymi do góry uszkami ślicznego łebka. Trzy orły kołujące nad dolinką, gdzieś nad skalnym urwisku stojący kozioł, świstak wyskakujący, jak na sprężynie przed swoją jamką i jednym piruetem chowający się z powrotem, rudy cień lisa w krzakach na zboczu... i nasza czwórka konno i ten stary, barwny Hucul, który do miasta raz na dwadzieścia lat jeździł, — wszystko staje jak żywe przed oczami.

Po paru dniach wtedy musiałam wracać do pracy. Nie upłynął tydzień, gdy znów dostałam alarmującą kartkę. Trzy razy tak jeździłam wtedy pomagać przyjaciółkom wyrwać Zabawską z apatii, wywołanej załamaniem się jej jako lekarza.

Wędrowałyśmy po górach aż hen, do Zelenego i Popiwana, do Burkutu i nad rumuńską granicę, gdzie orla i niedźwiedzia łatwo spotkać można, ale człowieka cały dzień nie uświadczy. Tam na połoninach są jeszcze łąki liliowe od storczyków górskich, o woni nigdzie nie spotykanej, tak pięknej, że wyjść się nie chce z pomiędzy tej kadzielnicy bezdymnej w przejrzystej czystości górskiego powietrza piękniejszą symfonię barw i woni grającej, niż wszelkie pejzotłowe sztuczne podniety.

Wędrowała wtedy z nami etnografka zawzięta, która do Warszawskiego Muzeum Etnograficznego radaby choć po jednej sztuce zabytków huculskiego budownictwa ze sobą zabierać. Ta zaraz czyniła porównania uczone stylów i epok u różnych ludów. Temat bogaty zajmował udręczoną bólem Zabawską, wielbicielek wykładów i malarstwa Stanisława Noakowskiego, który z pod pyłu wieków odgrzebywał stare budowle słowiańskie, odtwarzając je, jak Couvier przedpotopowe zwierzęta.

„Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy”, — jednak krew oczy zalewa na myśl o spalonym w Warszawie Muzeum Etnograficznym, gdzie gromadzono cuda polskiej sztuki ludowej. Najeźdźcy zrabowali resztki... Wyrwać chcą z korzeniem nawet pamięć o bogactwie polskiego piękna.

5. Dobrana kompanja.

Po tem naszym huculskim lecie Zabawska wróciła do normalnej pracy. Uspokoila się, — ściślej: opanowała ból. Tylko za jeszcze większą dobrocią zajmowała się młodszymi koleżankami, świeżo zdobywającymi dyplomy lekarskie, którym tak trudno stawiać pierwsze kroki. Praktyka szpitalna młodego lekarza w Polsce trwa długo, a przez ten czas... trzeba żyć. Zabawska zdobywała dla nich lekcje w szkołach, kołatała w ministerjum o nie wprowadzanie przepisów wymagających określonego czasu praktyki szpitalnej dla uzyskania prawa wykładowi higieny w szkole. Odstępowała im część swojej praktyki; powierzała zastrzyki dożylnie i t. p. zabiegi u swoich chorych. Jednocześnie wciągała je do polskiego Zrzeszenia Lekarek, gdzie opracowywano różne zagadnienia z zakresu chorób społecznych, opieki nad matką i dzieckiem i t. p.

— Trzeba kobiety organizować — mówią — bo u nas już tak jest, że najlepszy chirurg-kobieta zmarnuje się, bo jej koledzy do chirurgji nie dopuszczą. Znasz Dr. Jur. — urodzony chirurg, z ręką tak lekką i delikatną, jak tylko kobieta mieć może. Patrzałam na jej operacje w Kijowie. W Polsce — sama wiesz — jest lekarzem szkolnym. Dla Jotejkówny — autorki „La Fatigue” — katedry u nas nie było. A co się tyczy ginekologów, no to szkoda gadać. To jest specjalność przedewszystkiem dla kobiet, które same są matkami. Czyż może być lepsze połączenie wiedzy z doświadczeniem dla tego, kto ma się opiekować matką i dzieckiem?

W mieszkaniu Zabawskiej zbierała się też cała gromadka młodych lekarek, nie mówiąc już o tem, że do W.K.W. wciągnęła 17, stwarzając zespół, pracujący nad zagadnieniami higieny sportu, badający różne wpływy zmęczenia fizycznego, reakcji na ruchy i t. p.

— Zauważ — mówią Zabawska — jak Sokolice mają nierównomiernie rozwinięte ciała: góra szeroka, wąskie biodra. Metoda gimnastyczna, przejęta jeszcze od Czechów w 1868 r. przez naszych Sokołów, rozwija mięśnie barków, ramion i piersi. Nogi i brzuch w zaniedbaniu. A wioslarstwo rozwija harmonijnie. Chirurg, operujący ślepą kiszkę, odrazu poznaje wiosłarkę, bo mu nóż aż zgrzyta po mięśniach, niema ani funta zbytecznego tłuszczu. I wyobraź sobie teraz różnicę ciąży u wiosłarki i sokolicy, albo niewyćwiczonej fizycznie kobiety, której nogi robią się „jak z waty”, a słabe mięśnie brzuszne wiotczą do reszty.

Diskusje nad wychowaniem fizycznym kobiet kończyły się, jakże często, poruszaniem najróżnorodniejszych zagadnień filozoficznych. Zdrowie fizyczne to przecież zaledwie jedna strona zagadnienia, — musi ono iść w parze z moralną mocą ducha.

* * *

Widzę przed sobą ten zespół najróżnorodniejszych typów ludzkich, wysokiego poziomu, zbierający się u Zabawskiej, zespół kobiet o najróżniejszych zainteresowaniach, przekonaniach politycznych, ale złączony jednakowymi poglądami na zasady moralności i etyki i na obowiązek służby dla kraju.

Oto młoda lekarka, Franczeską w naszym gronie zwaną, równie, jak Zabawska, z Ukrainy pochodząca, która w r. 1919 przyszła do wolnej Polski z czworgiem młodszego rodzeństwa i matką wdową. Daleko, daleko zostały zgliszcza ojcowskiego dworu, ogród nad rzeką, własne konie na łące i łódki na Dnieprze. Zostały białe czeremchy w sadzie i noce rozśpiewane od słowików... i ojcowski trup na progu z krwawą siekierą w piersi. Rozbitków z bolszewickiej burzy przyjęły mury polskiej odradzającej się stolicy. Komitet Pomocy Dzieciom i Młodzieży Polskiej z Kresów pomieszczał dzieciaki w bursach i szkołach; najstarsza korepetycjami zarabiała na utrzymanie własne i matki, wstąpiła na medycynę. Przy konieczności jednoczesnej pracy na chleb długo trwały uniwersyteckie studia. Skończyła je jednak. Zaczęła sobie wyrabiać praktykę, jako zdolny laryngolog. Szczupła, zgrabna postać, z warkoczem nisko

upiętym nad karkiem, ciemnowłosa, z drwiącymi oczami i przemiłym uśmiechem, pociągającym serca.

Oto druga, ginekolog, zastępca ordynatora pierwszej w Warszawie przez same kobiety prowadzonej kliniki położniczej. Tę cechowała przede wszystkim... harmonja i wesoły, równostajny humor tłściocha. Jeździła na nasze wycieczki zawsze z tą nieodstępną harmonją, przygrywając na niej ze siuchu, co jej śpiewano, i zbierając dziesiątki piosenek ludowych. Należała do „Mandarynów” — ale to już jest dalsza historia. Jasnowłosa, błękitnooka, dobrodusza, bez żółci — pogodna tłściocha, sapiąca ze zmęczenia podczas naszych pieszych wyczynów, ale nie odstępująca od konkurencji z „chudzielcami”.

Oto doktor etnografji, ze szczególnem, a dla naszego zespołu zbyt egzotycznym zamiłowaniem studująca kultury szczepów północnej Azji, jeżdżąca na międzynarodowe zjazdy naukowe aż do dalekiej Japonji poprzez całą europejską i azjatycką Rosję. Wyportowana w W.K.W. silna, wysoka, czarnowłosa, z domieszką krwi węgierskiej w żyłach.

Oto nasza polonistka, Jasia, o krótko przyciętej czuprynie i błyszczących, jak gwiazdy, oczach. Dziwna mieszanina czupurności i nieśmiałości, wrażliwa, zamykająca się w sobie, jak ślimak w skorupie, przy nieostrożnym dotknięciu. Nauczycielka szkół średnich, magister psychologii i polonistyki, znająca świetnie psychologię dziewcząt i pracująca wraz z Zabawską nad problemem zdrowia uczennic szkół zawodowych, rekrutujących się przeważnie z pośród źle uposażonych rodzin. Dyskutująca zajadłe o programach nauk, o których decydują „mężczyźni z ministerjum”, „panowie od zielonego stolika”.

Oto Halina, nieodłączny Zabawskiej druh i towarzyszy. Chuda, o zwinnych szybkich ruchach, męskiej, gładko zczesanej, siwiejącej czuprynie, nie zrównana przewodniczka po górach i sterniczka na wodzie, „w cywilu” sekretarka kancelarji jednej ze szkół zawodowych. Ongiś piękna, zuchowata panna, rej wodząca na balach w mem rodzinnem Mazowszu, sportsmenka, pierwsza w Polsce pilotka, starszy żołnierz Ochotniczej Legji Kobiet, z szewronem w obronie

Lwowa zdobytym. Zawadzaka, najczęściej chodząca w narcyarskich spodniach, z rękami w kieszeniach i nieodłącznym papierosem w zębach. Pod pozorami szorstkości i ostrego języka, czułe, wierne serce, niezłomne w przyjaźni i miłości. Z pięknej, światowej panny przekształciła się w niedbającego o ubiór i drwiącego sobie z całego świata kpiarza. I nawet nasz zespół długi czas nie wiedział, że zmiany dokonała śmierć narzeczonego, który spadł w katastrofie powietrznej, ginąc na miejscu. W sercu Haliny nie było już miejsca na drugą miłość, oddała je niepodzielnie matce i dwojgu sierotom po bracie, przemiłym, niezwykle inteligentnym dzieciakom.

Oto poważna dyrektorka kilku szkół przemysłowych żeńskich, zmarła w 1938 r. Janina Złotnicka, świetna polonistka, przewodnicząca Stowarzyszenia dyrektorek i nauczycielek szkół zawodowych, organizującego m. in. wieloma pracami wędrowne kursy nauki gospodarstwa i rzemiosł. Złotnicka — arbiter sądu honorowego W.K.W., człowiek żyjący w cieniu skrzydeł ustawicznie przy nim przez 6 lat stojącej śmierci, tragiczny w swej niezwyklej pogodzie przygotowania na nagłe przestąpienie progu wieczności. Zmarła na udar serca z wady nabytej wskutek strasznej tragedji rodzinnej. Niezamężna — mówiła zawsze żartobliwie, że miała „za duże wymagania wobec męskich miernot, a na ideał nie zdarzyło się natrafić”.

Cień jeszcze cięższych tragedji wisiał nad głową drugiego arbitra W.K.W. Z wykształcenia i zamiłowania socjolog jeździła stale po kraju, wzywana przez różne organizacje do wygłaszania odczytów, w których — dając rozwiązania nad zagadnieniami życia narodowego — umiała zawsze poruszyć serca słuchaczy słowami z serca wydobytymi. Dziesiątki ludzi szukało u niej pomocy, rady, pociechy nie wiedząc, że tajemnica jej znajomości dusz ludzkich zdobyta jest własnym cierpieniem. Ona to w ostatnich dwóch latach życia Złotnickiej prowadziła z nią w bezsenne noce długie rozmowy „o tamtej stronie Wielkiej Bramy”, gdzie jasnymi stają się niezrozumiałe w ziemskim życiu przyczyny niezawinionych cierpień.

Ich niewzruszona wiara tem silniej wybijała się w dyskusjach z Zabawską, która, jako wychowaniec kijowskiego uniwersytetu, nie przeszła tej religijnej ewolucji, jaka przemieniła ogromną większość studentów wolnej Polski na żarliwie wierzących.

— Jako przyrodnik... — zaczynała Zabawska.

— Jako przyrodnik nie ma pani nic do mówienia — przerywała jej Złotnicka — Bóg to nie trupek skalpelem w laboratorium krajany. Pozatym, jako przyrodnik XX wieku, musi pani uznawać świat niewidzialny, a skoro pogodziła się pani z istnieniem promieni Roentgena, fal radiowych, promieni X, radu i t. p., skoro przyjmuje pani na wiarę twierdzenia fizyków, opowiadających o istnieniu atomów, jonów, elektronów i t. p. niewidocznych światów...

Zabawska nie dawała się: — A wie pani, co skalpele wykryły! że od nacisku na mózg, na to czy inne miejsce, od głupiego ropnia, czy od zmiany w składzie chemicznym substancji mózgowej zależy, czy człowiek jest zbrodniarzem, czy świętym.

Złotnicka uśmiechała się spokojnie: — I pani, lekarz nie wie, że mózg jest tylko narzędziem, takim samym jak ręka, czy krtań! Niechże mi pani każe grać, tak jak Paderewski albo swemu kotowi śpiewać, jak Kiepusia, no powiedzmy, jak słowik.

— „Ryby śpiewają w Ukajali” *)... oświadczał na to zgodny chór obecnych.

— Nie wprowadzajcie zwierząt do dyskusji — oburzała się lekarka — one według was nie mają duszy.

Ale tu Złotnicka odpieszała nieoczekiwanie dla słuchaczy. — Raczej skłonnabym była przypuszczać, że to niektórzy ludzie nie mają duszy, obchodząc się tak nielitościwie ze zwierzętami.

A przyjaciółka pomagała jej pogrążyć Zabawską: — Jestem przekonana, że mój poczciwy wilczur dostał się po śmierci do raju i czeka tam na mnie.

*) Tytuł książki A. Fiedlera.

— Szkoda, że cię kto z księży nie słyszy — mówiła Zabawska. — Ogłosiliby cię za heretyczkę.

— Tak? A gdzieżes ty, Zosiu, wyczytała w Biblii, że zwierzęta zostały z raju wygnane! — tryumfowała druga strona. — Anioł z mieczem ognistym wygnał ludzi, nie zwierzaków.

Zabawskiej szła w sukurs Halina. — A znacie perską opowieść o zbrodniarzu i sprawiedliwym. — I na pytający wzrok obecnych ciągnęła dalej: — Zmarł straszny zbrodzień, który kraj swemi zbrodniami przerażał, nie było dlań nic świętego, wszystkie grzechy główne uprawiał z zamiłowaniem i przekonaniem. I zmarł sprawiedliwy, który nigdy złego czynu nie popełnił. Zmarli jednocześnie. I obie te dusze Bóg schyliwszy się postawił sobie na dłoni. A wtedy ujrano, że obie są jak karły maleńkie...

— Co ma rzepa do kalafjora — wzruszała ramionami zawsze ściśle logiczna Jasia. — Po pierwsze, przypowieść głosząca wielkość Boga w stosunku do naszych ziemskich spraw. Po drugie, nie przesądza kwestji winy i nagrody. Po trzecie, przypowieść niekatolicka.

— A po czwarte — dodawała Złotnicka — poco mamy martwić się tem, że nasze nieudolne mózgi nie są w stanie ogarnąć ogromu tamtego świata i przeniknąć mądrości Bożej. Pójdę tam, to przekonam się, jak tam jest. Wtedy zrozumie...

Przy tych słowach jakby bardziej wyraźny stawał się koło niej nieodstępny cień śmierci. I Złotnicka dla odgonienia smutku przyjaciółek sięgała po ratunek do poezji, mówiąc zicha:

... „Nie jest On tylko robaków
Bogiem i tego stworzenia, co pełza,
On lubi huczny lot olbrzymich ptaków
I rozhukanych koni On nie kielza.

On piórem z ognia jest dumnych szyszaków,
wielki czyn łatwiej Go prześlaga, nie łąza
kornie wylana przed kościoła progiem.
Przed Nim upadam na twarz, On jest Bogiem!”

I nieraz w takich chwilach Zabawska nieoczekiwanie kończyła pytaniem: — „Jak to idzie o tym Polaku i kościele?”

Chodziło jej o Słowackiego:

„... bo broniąc krzyżowego znaku,
Polak i w kościół wjedzie na rumaku,
Z szablą dobytą na wpół i w przyłbicy“.

Nigdy nie mogła tego zapamiętać.

Ta rzekomo, czy istotnie „niezdolna do wiary” Zabawska była jednak lekarzem Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia i białe kornety stanowiły jej najgoręcej oddaną gwardję wiernych serc. Ona to do tkwiącego w starych przepisach zespołu Szarytek wprowadziła ożywcze tchnienie, umiając przekonać władze Zgromadzenia, że wymagania wiedzy dadzą się świetnie pogodzić z istotną treścią reguły. Tak naprzykład przeprowadziła istną rewolucję w ubraniu: zamiast grubych sukiennych granatowych habitów Szarytki, pracujące w ambulatorjach, aptekach, kuchniach szpitalnych i t. d. pojawiły się w habitach białych, płóciennych, tego samego kroju, ale chłodnych i higienicznych.

— One modlą się o moje nawrócenie... uśmiechała się smutnie Zabawska, gdy co roku otrzymywała zaproszenie na Mszę za swoją siostrę.

Ale zakonnice były innego o niej zdania: — Pani doktor jest wierząca, tylko sama o tym nie wie.

I to było bodaj najcelniejszym określeniem tej niezgodności, z jaką lekarka wprowadzała w czyn wszelkie nakazy moralności i etyki katolickiej, nie zachowując praktyk religijnych. Chwilami miałam wrażenie, że ona sama cierpi nad swoim, jak mówiła, „brakiem organicznym”.

— Coś tam, widzisz, brakuje mi, by mieć taką wiarę, jak wy... szczęśliwcy...

Dziś nie dzieli nas nawet ta różnica. Dziś ona już zna Prawdę.

* * *

Wysoka etyka Zabawskiej narażała ją nieraz na tragicomiczne sytuacje. Wezwano ją którejś nocy do chorej, mieszkającej w sąsiednim domu, tłumacząc z przeprosinami za obudzenie, że ratunek natychmiastowy konieczny, bo chora leży w krwotoku płucnym, a nie należy do ubezpieczalni na wypadek choroby.

— Wyobraź sobie — opowiada mi na drugi dzień lekarka. — Ostatnie stadjum gruźlicy. I ja w chwili wydawania poleceń o lód i czynienia gorzkich wyrzutów za takie zaniedbanie choroby i trzymanie zaraźliwie chorej w domu, nagle orjentuję się, że jest to dom publiczny. Winszuję tym draniom, którzy tam chodzili...

Gwóźdź tej wizyty tkwił w następstwach. Mianowicie Zabawska nie wzięła honorarjum za wizytę — „Przecież nie będę z tak cuchnącego źródła pieniędzy brała”. — Ale skutek był taki, że koleżanki chorej dowiedziały się o tem i hurmą zaczęły przychodzić do „Pani doktor, która darmo leczy”. Trzeba było dopiero interwencji Haliny, by im wytłumaczyć, że skoro już konieczne chcą się leczyć u tej, a nie innej lekarki, to niech przychodzą do ambulatorjum, gdzie ona przyjmuje bezpłatnie.

— „Bo przecież doktor też musi z czegoś żyć” — kończyła relację Halina o tej inwazji do gabinetu Zabawskiej, dodając złośliwie, że „Zosia darmo leczy przyjaciółki i... ulicznice”.

Ale nie na tym skończyła się ta historia. Wracam kiedyś z nocnego dyżuru w redakcji do domu. Widzę: po Marszałkowskiej idzie obława, jedzie słynna „zielona karetka”. Szłam Hożą, a tu z Marszałkowskiej skręca naprzeciw mnie Zabawska z orderowemi wstążeczkami na klapie zakietu, a przy niej idzie niemal przylepiona do jej ramienia osoba o niewątpliwym zawodzie wypisanym na jej twarzy.

Na drugi dzień powiadam do Zabawskiej: — Bójże się ty ludzi, kobieto. Co ty wyprawiasz! Przecież, gdyby cię który z naszych cacanych kalumniarzy spotkał, obszczekaliby się na amen.

A ona z oburzeniem. — A co miałam robić! Moja pacjentka. Zna mnie. Miałam pozwolić, żeby ją sponiewierali. Może te same dranie, co z niej korzystają... Podbiegła do mnie, jak zaszczuty zwierz. Przeprowadziłam ją. Niechby mnie który spróbował zaczepić... Popatrzyli na moje ordery i przeszli obok bez słowa. Powinnaś o tych sprawach pisać. — I opowiada mi w związku z tym faktem porządnie historję.

— I ty sobie wyobrażasz — powiadam — że ja mogę te sprawy poruszać w cnotliwym „Kurjerze Warszawskim”... Tym „Kurjerze”, który mi skreślał wyrazy: „matki ciężarne” przy cytowaniu ustawy o opiece nad matką pracującą i zamieniał je na: „matki karmiące”, paczka cały sens prawnego przepisu. Czyś ty zapomniła, że według Kurjera dzieci do dziś przynoszą bociany... A po drugie, czy myślisz, że za to nie groziłby mi proces o zniesławienie, proces, który ja przegrałabym, bo żadna z twoich ganianych po ulicach pacjentek nie stanie mi za świadka w sądzie, wiedząc, że potem żyć by nie mogła w „swoim świecie”.

Lekarka zasmuciła się. — Prawda... prawda... Ale coś z tym trzeba zrobić. Od czego jesteś posłem na sejm!

— Przyjdź kiedy na posiedzenie Komitetu Walki z Handlem Kobietami i Dziećmi, to przekonasz się, co można zrobić. To są przecież sprawy międzynarodowe, walczą z tym tysiące kobiet na całym świecie. Jedyna rada to inne wychowanie młodzieży. Gdy nie ma popytu, to nie będzie i podaży. Skończy się wtedy prostytutcja. Ale to twoi koleżkowie winni! Ci lekarze, którzy bzdury bają na temat potrzeb fizjologicznych, zamiast razem z nami walczyć z erotyzmem, alkoholizmem i prostytutcją. To są zbrodnie na duszach popełniane. Ty sobie wyobrażasz duszę takiego ulicznego zlewu! A przecież to też człowiek, który powinien dojrzeć do Wieczności. Za jego zepchnięcie w błoto, w ciemność będą odpowiadać winni tej zbrodni. Nad tem się twoi koleżkowie nie zastanawiają.

— Twoi też! — odpaliła mi Zabawska. — Czemu to swoich dziennikarzy dotąd nie nawróciłaś! Dużo z nich zasiada w komitecie?...

Rozchodziłyśmy się w pełnej zgodzie jednakowego na „męski świat” poglądu.

Zabawska żywo interesowała się sprawą położnictwa na wsi i opieki nad zdrowiem kobiet i dzieci. Podczas naszych wędrówek po kraju bywała — oczywiście — niejednokrotnie przygodnie proszona o porady i stałem jej zdziwieniem była niemożność zorientowania się w latach wieśniaczek.

— Byłam przekonana, że mam do czynienia z kobietą dużo starszą odemnie, — opowiadała nieraz po powrocie z wizyty — a tu dowiaduję się, że moja pacjentka ma 35 lat. Okropnie terają się wieśniaczki w ciężkiej, bezustannej pracy, bez żadnych ulepszonych sprzętów i urządzeń.

Z punktu widzenia ulepszenia życia wiejskiego patrzyła na pracę kół ziemianek i gospodyń wiejskich, pomagając z całą pasją tym lekarkom, które domagały się wraz z kołami gospodyń ustawy o położnictwie (wprowadzono ją w r. 1938).

Głównem jednak zainteresowaniem Zabawskiej z racji jej praktyki miejskiej było w tym zakresie przeciążenie pracą matki-robotnicy. Nasze rozmowy na ten temat były poparte wielokrotnym obchodem robotniczych mieszkań czy to z instruktorkami racjonalnego gospodarstwa (rekrutującymi się z absolwentek szkoły gospodarstwa domowego, albo członkini Związku Pań Domu lub z pośród działaczek ziemiańskich zamieszkałych na stare lata w Warszawie), czy to z kolumnami dezynfekcyjnymi Pol. Czerwonego Krzyża.

Echa naszych dyskusji na ten temat w moich artykułach wywoływały nieraz śmieszne skutki. Na drugi dzień po jednym z artykułów o niedocenianiu pracy domowej kobiet, weszło do mego gabinetu w redakcji 3 zecerów z gorącą do mnie pretensją:

— Pani redaktorka żony nam buntuje.

Chodziło im o to, że wykazałam różnicę zatrudnienia męża i żony, jednakowo pracujących w fabryce czy warsztacie. Mianowicie mąż po powrocie z pracy siada wygodnie z gazetą i czeka na obiad, później idzie zobaczyć się z przy-

jaciółmi przy kieliszku, albo śpi. Ale żona, wracająca o tej samej godzinie, co mąż z fabryki, musi zrobić zakupy, przygotować obiad, prać, prasować, reperować bieliznę i odzież, sprzątnąć mieszkanie, pomyć garnki i t. d. I do tego jeszcze ma porody, karmienie i wychowanie dzieci.

Odesłałam moich zecerów na rozmowę do Zabawskiej. Ani chcieli gadać z lekarką.

— Nam już dość lekarki nagadały w stacji opieki nad matką i dzieckiem. Ogłosili odczyt dla rodziców w niedzielę. Myślę sobie — opowiadał jeden z nich — trzeba posłuchać, czego to tam nasze kobiety są uczone. No i posłyszeliśmy... Teraz nam będą żony kołki na głowie ciosać.

Wobec tego posłałam ich do wzorowni gospodarstwa domowego. Po obejrzeniu racjonalnych sprzętów i ulepszonych narzędzi pracy, zrozumieli, o co chodzi. Ale do końca nie chcieli uwierzyć, że we Francji i Stanach Zjedn. mężowie żonom przy zakupach i gospodarstwie pomagają.

W te zeszłoroczne przesady o niższości pracy kobiecej uderzały taranem prace organizacji kobiecych.

Życie szło naprzód, wysuwając nowe zagadnienia i nowe ich rozwiązania. Były wśród nich eksperymenty szczęśliwe, były jednak i próby, które spotykały się ze sprzeciwem większości społeczeństwa, jak propagowane przez Klub Kobiet Postępowych i Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet poradnie świadomego macierzyństwa i zbyt daleko idące projekty ustawodawstwa małżeńskiego.

Zabawska była zwolenniczką rozwodów, twierdząc, że „lepsze to, niż piekielko rodzinne”. Przeciwniczki odpowiadały jej na to cytowaniem przykładów rozkładu rodzin i skutków tego dla dzieci, rozkładu wynikającego z lekceważenia obowiązków, z dążenia do „życia ułatwionego”, z lekkomyślnego zawierania małżeństw przez osoby liczące na to, że „w razie czego — jest rozwód”. Jedną z prawniczek cytowała przykłady samobójstw dzieci, które nie mogły znieść sytuacji porzuconych przez ojca. Byłyśmy wszystkie pod wrażeniem świeżego takiego faktu w rodzinie jednej z lekarek.

— To wychowujcie synów tak, by poważnie brali obowiązki ojców, — broniła swojej tezy Zabawska.

— A co rozumiesz przez wychowanie? — odpowiadałam jej. — Częścią składową wykształcenia charakteru jest religja. Mądrzejsi od nas psychologowie ogłosili nierozdzielność małżeństwa. Pies, czy wilk wychowuje swoje małe krótko, ale — mówiąc językiem Kiplinga — ludzkie „szczenie” potrzebuje kilkunastu lat opieki obojga rodziców, zanim dojdzie do samodzielności. Chrześcijaństwo walczyło z niewolnictwem odrywającym dzieci od rodziców, męża od żony i rodzicom przekazało prawo wychowania dzieci, odbierając państwu i ludziom prawo rozporządzania życiem drugiego człowieka i jego potomstwa, jeżeli w grę nie wchodzi zbrodnia lub wymagania obrony. I dlatego, jeśli mówisz o wychowaniu, musisz uznać, że jedyne moralne i zgodne z prawami życia hasła daje pod tym względem religja.

— Ja z wami o religji nie chcę dyskutować — mówiła Zabawska. — Ja myślę o stosunkach rodzinnych w tej chwili. I dlatego nie mogę zrozumieć, dlaczego dziecko nieślubne ma mieć mniejsze prawo do życia od ślubnego. Przecież, gdyby taki ojciec musiał ustawowo ponosić wszelkie skutki, jak matka, to dopiero zaczęłyby się zastanawiać, czy mu się to oplaci.

Ten feministyczny argument trafiał do przekonania większości z nas.

— Powiedzcie otwarcie — dobijała swoje oponentki Zabawska — że wy, matki legalne, poproście boicie się, że pierwszego dnia po ustawie o równości praw dzieci nieślubnych zjawi się w waszym mieszkaniu kilka, jeśli nie kilkanaście „lewych rodzin” waszych mężów. I że dlatego poproście bronicie praw waszych dzieci. To jeszcze zrozumieć. Zaleska w swojej broszurze „Kobieta i komunizm” cytowała bardzo charakterystyczne wycinki z gazet sowieckich, podających fakty przyłapywania przez sądy ojców nielegalnych. Nasi mężczyźni też lubią się powoływać na „prawa natury”, jak bolszewicy. Urządziliby sobie tak samo „jaczeczki rodzinne” w każdym mieście, gdyby im się zdawało, że zwiejają przed sądami, jak ci w Rosji.

— Ach, pani doktor w tej chwili broni nierozetwalności małżeństwa! — tryumfowała jedna z obecnych.

Zabawska zastanawiała się przez chwilę i wreszcie machnęła ręką. — A może wy macie rację... Ale nie co do dzieci. One powinny mieć równe prawa, równy start życiowy, a nie pokutować za głupstwa popełniane przez rodziców.

* * *

Sprawy kobiece, jednakowe zasady życia i wspólne włości po kraju złączyły gromadę przyjaciół Zabawskiej tak silnie, że tych węzłów nie zrywały najgorętsze dyskusje polityczne. W tem gronie było wiadome, że zio będzie potępione bez względu na to, kto je popełnił i że dyskusja nigdy nie przekroczy granic wzajemnego szacunku dyskutujących.

Najzłośliwsze bywały figle płatane sobie, gdy przychodził czas wyborów do sejmiku i senatu. Słysimy nieraz gromadą, każda z innym numerem w kieszeni. Ale zdarzyło się raz, że jedna z nas dumnie i ostentacyjnie „jedynekę” (Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem Marszałka Piłsudskiego) w rękę niosąc, nic nie wiedziała, że ma za wstążką kapelusza zatknietą z przodu „ósemkę” (Stronnictwo Narodowe) a z tyłu „dwójkę” (Polska Partja Socjalistyczna). Tak maszerowała przez całe Krakowskie Przedmieście. Opozycja zgodnym frontem przeciwstawiała się panującemu regimowi.

Przekonania polityczne niezdolne były nas rozdzielić, choć nieraz „skakałyśmy sobie do oczu”, jedna o Dmowskiego, druga o Korfanteo, trzecia o Piłsudskiego, czwarta o Witosa, a piąta o Daszyńskiego. Za to zgodnie urządziłyśmy „dzikie piekło”, jeśli zdarzyło się, że w spisach wyborczych pominięto w jakimś domu kobiety.

Zabawska należała do „Zetu” (organizacji bezpartyjnej byłych działaczy z czasów walk o Niepodległość) — zotatem nie była zaangażowana partyjnie nigdzie. Przyznawała rację polityce Dmowskiego z czasów poprzedniej wojny, ale to nie przeszkadzało jej w otaczaniu Piłsudskiego głębokim sentymentem.

— Pomyśl, — mówiła — przecież nasze pokolenie wzrastało z myślą, że ono znowu chwyci za broń. Za długo nie było w Polsce powstania. Europa zapomniała o nas. A Piłsudski podjął hasło walki orężnej, wrócił do tradycji Kościuszkowskich czasów. Porównaj ten cały okres walk o Niepodległość od pierwszego rozbioru 1772 r. do 1863 — z tym okresem od 1863 do 1905 r., kiedy była cisza w Polsce. cisza grobu. To było najgorsze. U nas już tak jest, że w każdym pokoleniu musimy krwawić, by idea żyć mogła.

— I dlatego mamy wciąż wśród naszych mężczyzn selekcję in minus, — drażniłam się z nią przekornie. — Najlepsi giną w walce, idą do więzień, wymierają na katordze, zostają połamańcy, nedorajdy, oportuniści.

— Kazała ci się kłaniać Żmichowska — wtrącała Jasia, sięgając po jakiś tom ze swej stale wypchanej książkami nauczycielskiej teczki i otworzywszy go, cytowała opinję poetki z okresu po roku 1831 :

„...Pozostała w kraju gromada próżniaków, dandyśów i nieuków”, którzy mając przeciw możliwość pracy dla narodu takiej, jaką wówczas prowadziły kobiety w organizacjach konspiracyjnych oświatowych, nie nie robili, jeno „grali w karty, tracili zdrowie, majątki, zdolności, a ze sztuk pięknych do choreografji chyba żywszy ujawniali pociąg”.

— Pani doktor zapomina, że nie tylko Piłsudski podjął hasło manifestacji i walki orężnej, — odzywała się gorąco instruktorka Sokolic, jedna z tej grupy, którą Zabawska do „życia na wodzie” wciągnęła. — Zapomina Pani, że pierwsze manifestacje, które chciały przerwać „ciszę grobu”, wybuchły wśród akademików w Warszawie w setną rocznicę powstania Kilińskiego, że nieprzerwana była nie konspiracji, mających na celu przygotowanie się do walki orężnej, że stary pułkownik Teodor Tomasz Jeż-Miłkowski, głosiciel idei słowiańskiej, wysyłał wciąż z Rapperswillu grzmiące odezwy. Przecież Strzelec Piłsudskiego był młodszym bratem Sokołów i Drużyn Bartoszewych, wychowujących przyszłych polskich żołnierzy. Nie trzeba zapominać, że Sokolstwo polskie powstało już w r. 1868, a więc

w trzy lata po zgnieceniu powstania, jako dalszy ciąg idei powstańczej. Pani doktor nie była w Krakowie w r. 1910, kiedy to defilowało na Błoniach 10.000 Sokołów podczas odsłonięcia Pomnika Grunwaldzkiego, kiedy była wśród nich delegacja Sokolstwa Polskiego ze Stanów Zjednoczonych — tego samego, które w 8 lat później zapewniło kadry „błękitnej armji” Hallera we Francji. Trzeba było widzieć wtedy tę „rewję przyszłych powstańców” maszerującą wśród szalonego entuzjazmu tłumów stutysięcznych, które zjechały ze wszystkich dzielnic Polski, mimo zakazów władz pruskich i rosyjskich. O walce myślała większość młodzieży, chowana w uwielbieniu dla powstańców. Dmowski dlatego stracił wtedy młodzież, że zbyt realistycznie ocenił powstania, patrząc tylko na ich potworne skutki po przegranych walkach. Podsumowując zyski i straty, widział olbrzymią przewagę strat.

— A jednak i on, gdy chwilę dziejową uznał za odpowiednią, rzucił na szalę polską krew. — Tłumaczyłam „piłsudczankom” — Stronnictwo Narodowe stworzyło Legion Puławski 1915 r., a przecież sławny pułk Krechowieckich ułanów wywodzi się z niego. I nie kto inny, tylko Polski Komitet Narodowy w Paryżu stworzył armję polską we Francji. Nie zapominajcie, że wtedy nasi wrogowie operowali argumentem, że Legjony Piłsudskiego walczyły po stronie mocarstw centralnych. Zachód nie chciał zrozumieć, że Legjony Piłsudskiego prowadziły własną „polską wojnę z Rosją”. A Piłsudski nie uznawał, że Legion Puławski prowadził „polską wojnę z Niemcami” i nie był wyrazem „orientacji prorosyjskiej” — tylko prokoalicyjnej. Rosja, w której zaborze utworzył się Legion Puławski, należała wtedy do koalicji antyniemieckiej. A gdy pękał rosyjski front, ułani Legjonu z jednaka furją szarżowali pod Krechowcami na Niemców, jak bronili Stanisławowa przed bandami rosyjskiej piechoty. I nie zapominajcie, że Poincaré, otwierając kongres wersalski i wyliczając prawa każdego z państw sprzymierzonych do wzięcia w nim udziału po stronie zwycięzców — wymienił, jako jedyne Polski do tego prawo, pośpieszenie z pomocą Francji na froncie zachodnim przez stworzenie armji ochotniczej Hallera.

— Bardzo to wszystko pouczające, — uderzała do ataku Halina — ale jakim cudem wy, redaktorze, siedzicie w tak antyfeministycznej partji, tego ja już zrozumieć nie mogę.

A feministka odpowiadała spokojnie: — Nawróconych nie trzeba nawracać, — siedzę tam, gdzie mam do czynienia z poganami sprawy kobiecej.

Zabawska zaś — nalewając nam świeżej herbaty — stała nagle po mojej stronie: — Wy tak bardzo nie szermujcie tem rzekomem zrozumieniem dla równych praw kobiet w innych ugrupowaniach, bo wszędzie jest masa trudności z przeprowadzeniem postulatów kobiecych. Teoria sobie, a praktyka sobie. Na posiedzeniu Rady Naczelnej Wychowania Fizycznego Piłsudski powiedział mi: — „Wychowuję swoje córki twardo, bo boję się, żeby ich nie zagryźli” Marszałek rozumie naszą sprawę.

— I to on przyznał nam równe prawa polityczne w ordynacji wyborczej do pierwszego sejmku, — tryumfowała Halina.

— A czy wiesz, kto poprowadził do niego delegację kobiet w tej sprawie?

— Nie było potrzeba żadnej delegacji.

— Mylisz się. O kobietach zapomniano... jak zawsze. Dopiero ówczesna prezeska W.K.W. — dr. Budzińska-Tylicka porwała coby prędzej Komitet do spraw równouprawnienia kobiet, wyłoniony na zjeździe wszystkich polskich organizacji od prawa do lewa w r. 1917 w Warszawie i poprowadziła go do Piłsudskiego. Budzińska-Tylicka była wtedy też prezeską Klubu Politycznego Kobiet Postępowych, a obok niej na tym zjeździe siedziały Ziemiarki, głoszące wówczas najbardziej postępowe hasła, siedziały stowarzyszenia katolickie, związki zawodowe i grupy dawnych feministek, tych, którym zawdzięczamy dostęp do uniwersytetów.

— Zawsze mówiłam, że tylko kobiety potrafią uzgadniać swoją akcję, — uśmiechała się z zadowoleniem Zabawska.

6. Przedwojenna robota.

Mimo swego „feminizmu” bynajmniej nie zamykałyśmy oczu na braki i wady kobiet. Nasz „feminizm” wypływał z przekonania, że „trzeba wychowywać matki, by wychować synów”. Ileż to przed kobietami w Polsce stało zagadnień, które trzeba było rozwiązać.

Mieliśmy w kraju o dwa miliony więcej kobiet, niż mężczyźni. Zamążpójście nie mogło być uważane, jak ongiś, za przystań pewną do końca życia: rozwody, bezrobocie, śmierć męża wytrąca mężatkom podstawę bytu z pod nóg. Orzeszkowej powieść „Marta”, która prostym obrazem tragedji kobiety, nie umiejącej zapracować na życie i nie mogącej znaleźć pracy w zacofanem społeczeństwie, przyczyniła się przed 70 laty tak ogromnie do równouprawnienia kobiet, — ta sama powieść stawała się aktualna wobec bezrobocia.

Trzeba było myśleć o nowych polach pracy dla kobiet, o ich silniejszej organizacji, o wiązaniu ich we współdzielnych warsztatach, o walce z chałupnictwem, o dziesiątkach kursów zawodowych, podnoszeniu gospodarstw domowych, trudnościach dotarcia do wiosek i małych miasteczek. Hasło, że każda kobieta musi być przygotowana fachowo do pracy zarobkowej i jednocześnie bez względu na to, w jakim zawodzie pracuje, musi być dobrą gospodynią domu i umiejętną wychowawczynią dzieci, — zrozumienie tego hasła szło przez cały kraj.

Ziemianki i gospodynie wiejskie i miejskie rozszerzały ilość kursów gospodarstwa domowego, ogrodniczego, higieny i pielęgnacji niemowląt. Stowarzyszenie dyrektorek i nauczycielek szkół gospodarstwa organizowało kursy węd-

rowne. Młodzież Czerwonego Krzyża podjęła akcję krzewienia higieny w domach i nauki ratownictwa w kołach uczniów szkół powszechnych i średnich.

Miejskie Ośrodki Zdrowia, poradnie profilaktyczne i lekarskie powstawały w coraz większej liczbie, mimo to brakowało ich ciągle w środowiskach wiejskich. Zaczęto zakładać Spółdzielnie Zdrowia.

We wszystkich tych ośrodkach rozwijała się akcja pouczenia matek o wychowaniu dzieci. Jednocześnie powoli przyjmowała się w społeczeństwie akcja, podjęta od r. 1929 przez inspektorki pracy, a związana nie tylko z ochroną pracy kobiet, ale i z ochroną macierzyństwa robotnicy. Ustawa o opiece nad macierzyństwem kobiet pracujących, wniesiona w r. 1924 przez Narodową Organizację Kobiet, stała się częścią ustawy o ochronie pracy kobiet i młodocianych. Na jej podstawie przedsiębiorstwa zatrudniające ponad 100 kobiet musiały zakładać przyfabryczne żłobki i dziecińce lub stacje lotne opieki nad matką i dzieckiem. Stowarzyszenia społeczne zakładały sieć świetlic zimowych i kolonji oraz półkolonji letnich. Obok starych stowarzyszeń — jeszcze przed pierwszą wielką wojną prowadzących kolonie dla dzieci — utworzyły się nowe, specjalizujące się w opiece nad dzieckiem, jak akademicka „Pomoc Bliźniemu”.

Inne organizacje za przykładem harcerstwa poszły na organizowanie letnich obozów dla młodzieży i dla kobiet. Rozwój bibliotek wymagał również fachowych sił.

Otworzyły się więc pola pracy w pielęgniarstwie i w pracy społecznej, gdzie trzeba było wykwalifikowanego personelu do tych wszystkich placówek. Zrywano nawąłt ze starymi metodami, kiedy to praca społeczna była traktowana, jako nie wymagająca przygotowania fachowego.

Polski ruch kobiecy odbijał w sobie to rozrastanie się roboty. W naszym ruchu społecznym żywym echem odzywały się wysiłki międzynarodowych kongresów Ligi Nowego Wychowania, „Kobieta w rodzinie czynnikiem postępu społecznego”, kongresów rolnych (na których nasze ziemian-

ki grały wybitną rolę, swemi referatami zdobywając sobie zasłużone uznanie i stanowiska w prezydjach), kongresów opieki społecznej, międzynarodowych organizacji kobiecych, kongresów katolickich. Nasze delegatki wracały z nich radosne, przywołując cenne przekonanie, że Polska nadrabia lata niewoli, ba! — nawet w niektórych dziedzinach przewyższa te narody, które przerwy w swoim życiu państwowem nie miały.

W każdym dziale pracy kobiety szły naprzód. Gdy w r. 1929 weszły do sądownictwa, od razu w dziale sądów dla nieletnich zaczęły odgrywać wybitną rolę. Prawniczki zrzeszone w związek pilnowały spraw kobiecych w projektach ustaw (prawo rodzinne, prawo majątkowe i t. d.), przedkładając memoriały rządowi.

W fizyce i chemji zaczynało być głośno o uczonych badaczach. Ale o ile fizyczki rozbiły atomy lekkie (Dr. Alicja Dorabalska) i prowadziły badania nad mikrokosmosem, — o tyle chemiczki odnosiły się ze szczególną uwagą również i do życia codziennego wkraczając do laboratoriów badania środków spożywczych, do aptek, do dietetyki. Mieśliły specjalną Szkołę Dietetyki w Inowrocławiu.

Pojawiły się kobiety nawet na mechanice.

Kobiety-architekci wprowadzały do budownictwa specjalne wymagania co do rozkładu i urządzania mieszkań z punktu widzenia potrzeb gospodyni i ułatwienia pracy domowej, na co wcale nie zwracali uwagi starzy architekci, myślący tylko o tym, by dany plac wyzyskać dla pomieszczenia na nim największej ilości mieszkań, zgodnie z wymaganiami kapitalisty, uważającego kamienicę jedynie za korzystną lokatę kapitału.

Absolwentki szkół zdobnictwa i Instytutu Pracy Ręcznej tworzyły nową gałąź rzemiosła artystycznego: planowanie wnętrza mieszkań z racjonalnymi sprzętami i estetycznym zdobnictwem na motywach sztuki ludowej opartem.

Nauczycielstwo, które od 100 lat było domeną silnie obsadzoną przez kobiety, również miało do czynienia z no-

wemi zagadnieniami: szkoły dla dzieci trudnych do prowadzenia, dla fizycznie i umysłowo upośledzonych, Instytut Pedagogiki Specjalnej, zakłady wychowawcze zamknięte dla sierot, — ogromny ten dział pracy społecznej wymagał sił szczególnie uzdolnionych. Napływ kobiet na wyższe uczelnie był ogromny. Jednakże, gdy chodziło o kwestję pracy zarobkowej kobiet, to kluczem zagadnienia nie były studia wyższe, tylko średnie szkoły zawodowe. Trzeba było przygotować do pracy zarobkowej szerokie masy dziewcząt, które bądź nie miały powołania wyraźnego do jakiegś gałęzi wiedzy, bądź nie miały środków na dłuższe studia. Dla nich wchodził w grę przedewszystkiem handel i rzemiosła.

Ale tu napotymano na podobne zjawisko, jakie zachodziło w zawodach zbyt „przeludnionych” — przeludnionych w wielkich skupiskach, jak zawód lekarski, czy prawniczy, które zaczęły się bronić przed „inwazją” studentek. Mianowicie w rzemiosle napotykało się istną „zmowę mężczyzn”. Fryzjerzy przez długi czas nie chcieli przyjmować kobiet na praktykę. Na dobitkę wydział szkół zawodowych w ministerjum oświaty ustalił program nauki tego fachu na... trzy lata. Która z dziewcząt sfery robotniczej mogła sobie pozwolić na tak długi okres nauki? To samo było naprzykład z rękawicznikami: wymagali 4 lat terminowania!

— To architektura na Politechnice trwa 4 lata, a wy dla fryzjerstwa potrzebujecie trzech! — irytowała się na konferencjach Zabawska.

Jubilerstwo było również zazdrośnie strzeżone przez mężczyzn: żaden jubiler, ani grawer nie przyjmował kobiet na praktykę. Gdy zaś zjawiała się pierwsza pionierka, która na praktykę aż do Szwajcarii pojechała, warsztat jej w Łodzi nie mógł wytrzymać... ciężarów ustawy o ochronie pracy.

„Feministki” stanęły przed trudnym zagadnieniem: jak pogodzić rozwój rzemiosła z koniecznością ochrony pracy. Na krótki czas przed wojną zaczęły go rozwiązywać

przez zakładanie spółdzielni pracy. Pierwsza taka „Spółdzielnia Pracy Kobiet”, powstała w Warszawie, zdobywała sobie coraz większe uznanie. Drugą założono w Łodzi. Za nimi poszły podobne.

Jednocześnie szkoły żeńskie rękodzielnicze podnosiły się na coraz wyższy poziom, dzięki świetnie prowadzącym stronę artystyczną malarzkom-dekoratorkom z Warszawskiej Szkoły Zdobnictwa, dzięki wprowadzeniu do krawiectwa, bielizniarstwa, koronkarstwa, hafciarstwa, tkactwa, kilimczarstwa i t. d. bogatych motywów sztuki ludowej.

Odradzał się w zdobnictwie wszelkiego rodzaju regionalizm, odkopywanie z pod pyłu zapomnienia oryginalnych wzorów polskiej twórczości rękodzielniczej, zabitej przez wyroby fabryczne.

Odradzało się zamiłowanie i zrozumienie dla pracy ręcznej, propagowanej przez Instytut Pracy Ręcznej, założony i prowadzony przez ś. p. inż. Wład. Przanowskiego, który za cel życia postawił sobie rozszerzenie wiedzy o maszynach i narzędziach pracy na całą młodzież polską, obudzenie w niej zrozumienia, czym jest mechanizacja pracy w walce o lepsze jutro i w odpieraniu konkurencji i grozy przewagi gospodarczej Niemców.

W dążeniu do podnoszenia gospodarczego i kulturalnego życia maszyna jest narzędziem, które może doprowadzić do celu wtedy, gdy jest traktowana zgodnie ze swoim przeznaczeniem: ułatwiania pracy i wzmaganie jej wyników dla dobra ogólnego, a nie dla zysku jednostek. Człowiek nie jest niewolnikiem maszyny, tylko jej twórcą i panem. Aby jednak dojść do wyzwolenia się z fałszywych dróg, na jakie poszła wytwórczość fabryczna, trzeba rozszerzyć znajomość konstrukcji maszyn i narzędzi pracy pomiędzy młodzież, obudzić w niej inicjatywę, wynalazczość, nauczyć stosowania maszyn wszędzie, gdzie tylko one mogą być zastosowane. Tak postąpiły kraje uprzemysłowione, nie zrywając z kapitalizmem, — polscy pionierzy pracy ręcznej wywracali ich metody na wywrót, ucząc, że maszyna została poto wynaleziona, by służyła pracy, nie kapitalowi, pięknu życia, nie szablonowi masowych wyrobów.

Dzięki krzewieniu zamiłowania do pracy ręcznej powstawały w Polsce nowe warsztaty pracy, zwycięsko konkurujące z fabrycznymi: rozwijało się tkactwo domowe na ulepszonych warsztatach, dostarczające naszym spółdzielniom pracy tkanin artystycznych, naśladowujących oryginalną twórczość ludową z całym bogactwem motywów. Powstały wytwórnie artystyczne różnych przedmiotów do użytku domowego, odżyło artystyczne introligatorstwo, tioczenie skór, cyzelerstwo, snycerstwo.

Do szkół ogólnokształcących wprowadzono, najpierw, jako nieobowiązkową, naukę początków stolarstwa, ślusarstwa, elektrotechniki, obróbki szkła, introligatorstwa. Niektórzy uczniowie wprost zapalili się do tej roboty, szczególnie dzięki wykazaniu przez nauczycieli praktycznego zastosowania jej do drobnych reperacji w życiu domowym potrzebnych, a z drugiej strony do przygotowywania t. zw. pomocy szkolnych do nauki historii, geografii, fizyki i t. d., do budowy aparatów radiowych i t. p. Zainteresowanie to wzmagały jeszcze szkolne modelarnie samolotów, rozpowszechniające się masowo.

Cała ta propaganda pracy ręcznej miała jeszcze i inne skutki.

Było już zwyczajem w Polsce, że szkoły lepiej zaopatrzone szły z pomocą młodzieży uboższej. Uczniowska organizacja „Caritas” nakładała na swych członków obowiązek dzielenia się śniadaniem z uboższymi kolegami w okresie bezrobocia, a od starszej młodzieży wymagała jeszcze pomagania w nauce. Organizacja Młodzieży Czerwonego Krzyża prowadziła m. in. swemi pracami t. zw. korespondencję międzyszkolną, nawiązując znajomość między uczniami szkół różnych prowincji Polski. Z listów dzieci ze wschodnich prowincji młodzież na Zachodzie dowiadywała się o brakach w zaopatrzeniu szkół. Wynik był taki, że dziesiątki szkół w różnych zakątkach kraju zaczęły otrzymywać pomoce szkolne wyrabiane przez uczniów już w warsztatach pracy ręcznej w szkołach lepiej zaopatrzonych. Niektóre gimnazja zaczęły pozatym organizować szkolne koncerty i przedstawienia na „Fundusz Warsztato-

wy", zakupując i wysyłając do szkół kresowych całe komplety narzędzi pracy ręcznej. (Jedno tylko z warszawskich gimnazjów — Im. Królowej Jadwigi — zdołało w ciągu r. 1938 wysłać 13 takich kompletów).

W rozwoju rzemiosł i nauce handlu widziano ratunek przeciw bezrobociu młodzieży, wychodzącej z przeludnionych wsi do równie przeludnionych miast. Ale i tu trzeba było pokonywać nieoczekiwane przeszkody: przybywająca na naukę do miast młodzież przyzwyczajała się do życia w mieście i nie chciała wracać na wieś. Rozwiązanie kwestji w teorii było łatwe: trzeba by dać wsi wszelkie te udogodnienia, jakie ma miasto, czyli — jak się to mówiło — „zurbanizować wieś”. A więc dać wsi oświetlenie i napęd elektryczny, kanalizację i wodociągi, biblioteki i kino naukowe i rozrywkowe, radio, świetlice i t. d. W tym kierunku były opracowywane plany i poczęści wykonywane pewne prace, jak budowa Porąbki i Soły, tam i zbiorników wód, które zabezpieczając od powodzi, jednocześnie dawałyby energię wodną, napędzającą wielkie elektrownie.

Do tego samego działu należy zaliczyć wielkie prace „unowocześnienia wsi”, podjęte w niektórych powiatach, jak m. in. horodeński i skierniewicki, gdzie umiano zorganizować siły miejscowe przy minimalnych stosunkowo nakładach państwa celem budowy dróg, przeprowadzania wodociągów wiejskich i t. d.

W ciągu ostatnich dwóch lat przed wojną akcja „Wczasów Robotniczych” organizowana przez stowarzyszenia społeczne i inspektorat pracy przy pomocy materialnej ubezpieczalni (które tę akcję traktowały jako profilaktyczną dla zdrowia ubezpieczonych) spowodowała całkowitą nieraz zmianę wyglądu dziesiątków wiosek, przygotowywanych na przyjęcie „letników” przez ludność, która unowocześniając wygląd wsi (uporządkowanie dróg, podwórzy, ogródków, wnętrzy chat i t. p.) zdobywała możliwość sprzedaży wielu produktów na miejscu letnikom. Stowarzyszenia zaś prowadzące te „wczasy”, organizowały po wsiach koncerty i inscenizacje pieśni, melodeklamacje i odczyty, co ze zwał strony przyczyniało się do obudzenia żyw-

szego ruchu oświatowego, do zgłoszeń o książki i instrukcje prowadzenia świetlic zimowych.

Organizacje młodzieży wiejskiej — niezależnie od tego działające — prowadziły kursy dokształcające, zakładały biblioteczki i t. d.

A ostatnio wprowadzona ustawa o obowiązku „służby pracy” dla maturzystów, rzuciła w r. 1938 parę tysięcy młodzieży z rodzin pracowników umysłowych pomiędzy młodzież pracującą fizycznie. Sześciotygodniowa „służba pracy” w czasie wakacji letnich przy budowie dróg i porządkowaniu ich, pełniona w szeregach Junaków, dawała młodzieży, która miała iść na wyższe studia i pełnić następnie prace kierownicze, zetknięcie się z przyszłymi rzemieślnikami i robotnikami. Wzajemne poznanie się przy pracy, nawiązane w ten sposób koleżeństwo, było początkiem tego ruchu, który — jak wierzyliśmy — „zwalic musi sztuczne przegrody pomiędzy światem pracy umysłowej i światem pracy fizycznej”.

Powstały silne ruchy ideowe, sprzeciwiające się „uganianiu za posadami”, wskazujące na potrzebę inicjatywy, na obowiązek wyniesienia znów, jak sztandar, hasła pracy organicznej, które tak wielką rolę w życiu Polski spełniły. Lektura Stanisława Szczepanowskiego, Karola Libelta, wzory dr. Marcinkowskiego w Poznaniu, ks. Wawrzyniaka odżywały wśród młodzieży, która w kółkach uczniowskich i akademickich dowiadywała się tego, czego nie umiała dać wadliwie zreformowana przez źle dobieranych ministrów szkoła.

Mimo błędów politycznych przodowaliśmy na wielu polach. Nasze ustawodawstwo socjalne, opieka nad młodzieżą bezrobotną, równość płac kobiet i mężczyzn wykonywujących tę samą pracę na tym samym stanowisku w fabryce czy biurze, zasada: równa płaca za równą pracę, nasze umowy zbiorowe w przemyśle wskazują, jaki postęp Polska zrobiła w ciągu 20 lat zaledwie niepodległości.

I warto przypomnieć, że wszystko musieliśmy budować od początku i bez kapitałów własnych. Z niczego two-

rzyliśmy podkład złota pod walutę polską. W podziemiach Banku Polskiego do ostatnich dni przed wojną leżały wielkie sztaby złota ze stemplem: „Narodowa Organizacja Kobiet” — złota, które powstało ze zbiórki przez tę organizację prowadzonej przez pierwsze lata po powstaniu państwa, z przetopionej biżuterji, z obrączek złotych, pierścionków, starych monet, chowanych razem z rodzinnymi papierami, jako pamiątki lepszych czasów i oddawanych przez ludzi, którym nic już więcej wojny nie zostawiły. Z tych naszych wdowich groszy tworzyło się wszystko.

Ileż dawał naród dobrowolnie, bez nakazu, w zbiórkach społecznych: na budowę szkół, na uniwersytety ludowe, na Instytut Radowy, na biblioteki, na dożywianie dzieci i bezrobotnych w okresie kryzysu.

Jeszcze 5 — 10 lat spokoju i naród po przełamaniu wewnętrznych swoich trudności politycznych i ekonomicznych doprowadziłby kraj do rozkwitu. Polska szła ku wielkiej przemianie. Siły narodu rozsadzały sztuczne więzy, burzyły się, jak fale rzek na wiosnę.

7. W Przystosowaniu Kobiet do Obrony Kraju.

Gdy nadszedł rok 1938, wykazała się znowu jednolitość frontu kobiecego, taka, jak wtedy, gdy chodziło o wprowadzenie w życie ustawy o ochronie pracy kobiet i młodocianych, o żłobki przyfabryczne i opiekę nad matką i dzieckiem. W r. 1938 rząd zapowiedział wniesienie ustawy o pomocniczej służbie wojskowej kobiet. Zrobił się niesłyszany i dla rządu nieoczekiwany entuzjazm: wszystkie bez wyjątku organizacje kobiece ogłaszały uchwały, żądające natychmiastowego wprowadzenia jej w życie.

Nareszcie! Od r. 1922, w którym minister spraw wojskowych pogrzebał tę sprawę, rozwiązując Ochotniczą Legję Kobiet i zamykając kobietom dostęp do szkół wojskowych, — od tej chwili szła twarda, nieustępliwa walka organizacji kobiecych, powołujących się na przykład wielkiej wojny, powstań, obrony Lwowa, Warszawy, Wilna, Płocka, na konieczność istnienia kadr instruktorek przystosowania wojskowego, służb pomocniczych. Wskazywano na fakt, że odkąd Legja objęła służbę wartowniczą przy magazynach i transportach w czasie rozgardjaszu walk z bolszewikami w 1919/20 roku, ustały kradzieże zapasów. Dowodzone, że front będzie potrzebował tak wielkiej ilości żołnierzy, że pozafrontową służbę trzeba będzie oddać kobietom, że mogą one prowadzić intendenturę, służbę łączności, kancelarje, transporty samochodowe i kolejowe, obronę bierną przeciwlotniczą i przeciwpożarową oraz przeciwgazową. Ministerjum było nieugięte.

— Tak! Znowu nieprzygotowane będziemy musiały improwizować obronę — sarkały niewiasty, pamiętające niedawne walki i sytuacje.

Powstał Komitet przystosowania wojskowego kobiet. Należały doń organizacje byłych legjonistek, hufce P. W. kobiet, istniejące mimo braku poparcia ze strony władz, harcerki, Koło Polek, prowadzące świetlice i kantyny dla żołnierzy podczas poprzedniej wojny, ogółem kilkanaście organizacji. Powstały kobiece drużyny przeciwpożarowe

przy ochotniczych strażach pożarnych. Na letnich obozach P. W. kobiety ćwiczyły się setki dziewcząt. Przez kilka lat P. W. prowadziło i Sokolstwo żeńskie. Ale naogół sprawa nie rozwijała się w takich rozmiarach, jakie były konieczne. I oto nagle rząd sam wnosi ustawę...

Orazu zrobił się ruch: opracowywanie rozszerzonych ram P. W., przygotowywanie programów, organizowanie terytorialnych jednostek służby pomocniczej, objęcie różnych działów obrony miast i wsi. Orazu okazało się, jak wiele brakować będzie sił pomocniczych, nie wykształconych dostatecznie przez poprzednie lata ministerjalnego uporu. Powstał Społeczny komitet Przystosowania Kobiet do Obrony Kraju, łączący przeróżne pomocnicze organizacje. Wyłoniła się konieczność skoordynowania prac pomocniczych kobiecych z akcją Ligi Obrony Powietrznej Państwa, Czerwonego Krzyża, Białego Krzyża. Zagadnień do rozwiązania była moc.

Organizacje gospodarcze zaczęły organizować kursy dla t. zw. opiekunek domowych, na których barkach miała spocząć troska o rodziny walczących, o matki i dzieci, o starców i chorych. Z doświadczeń kolonji i półkolonji letnich, mających standartowe przez lekarzy ułożone jadłospisy, zaczęto korzystać dla przygotowania mięsowego odżywiania, żeby oszczędzić pracy rękom kobiet, powołanych do służby. Ruch ten zapowiadał poprostu olbrzymi skok naprzód w stosunkach społecznych: dałby rozrost liczbowy tej współpracy kobiet, która tak pięknie rozwijała się w polskich organizacjach, ale nie zdołała jeszcze objąć milionów.

— No cóż... przyjdzie się i nam z tobą, Zosiczko, wrócić do karabinu, — orzekła w maju 1939 r. Halina.

„Zosiczka” Zabawska obgadała sprawę z centralą P.W.K. Osobne kursy miały starsze działaczki z organizacji, związanych z wojskiem, jak Rodzina Wojskowa, — osobno kształcono studentki i osobno nauczycielki, dostosowując stopniowo programy do fachów, ale jednak dając wszystkim młodym jednakowe przysposobienie żołnierskie. Obiecano też stworzyć osobny kurs dla kobiet z uniwersyteckim wykształceniem.

8. Mandaryni z pod Istebnej.

W czerwcu pojechałyśmy całą gromadą na kurs, pod Istebną na Śląsku Cieszyńskim. Obóz był w dolinie, okolonej lasem, przeciętej rzeką. Około 500 dziewcząt mieściło się w namiotach na łące. „Starszyźnie” przydzielono wielkie schronisko drewniane za rzeką przy trakcie. Zjechały się przeważnie nauczycielki, humanistki, parę fizyczek, kilka lekarek, zaplątało się parę przedstawicielek innych zawodów, naszej etnografki nie wyłączając. Były i takie, które P. W. przechodziły w dawnych latach i teraz musiały uzupełniać przeszkolenie według nowych programów.

Zabawska nawet w tym wyborowym zespole odbijała na jego tle, jak świerk na tle sosen. Dorodna, zgrabna, o pięknej głowie, harmonijnych ruchach, wysuwała się na czoło kompanji od pierwszych dni, tembardziej, że długoletnia zaprawa sportowa przygotowała ją dobrze do żołnierskich ćwiczeń. A gdy jeszcze rozejrzawszy się w sytuacji, naszyłyśmy jej na mundurze pętliczki i założyły wstążeczki orderowe, — młodzież ciągnęła się przed nią na baczność, jak przed samą naczelną komendantką. „Zosiczkę” radowało to skrycie. Z poprzedniej wojny wyszła w randze kapitana-doktora. Teraz nieco trudno było jej służyć w randze nawet nie szeregowca, tylko — pozał się Boże — zwykłego rekruta, z którym młode instruktorki ze złotemi i srebrnemi szewronami na rękawach wyprawiały przedziwne sztuki.

Młodsze hufce bardzo rychło obdarzyły pierwszą kompanję żartobliwem przezwiskiem „Mandaryni”. Rodowód prosty: nazwa brzmiała „pierwsza kompanja przysposo-

bienia wojskowego kobiet z wyższym wykształceniem” — skrót: i komp. P.W.K. z w. w. Dziewczęta mówiły: pierwsza kompanja z w. w. — A że to którejś z nich przypomniało nazwę jakiegoś chińskiego miasta — przechrzeiła nas poprostu na „mandaryni”. I tak zostało, jako że i z wieku i z urzędu kompanja nosiła się górnice, pełna iście mandaryńskiej wobec młodzieży powagi.

Wszystkie te dyrektorki szkół, ordynatorki lecznic, prezski organizacji, kierowniczkki samodzielnych warsztatów pracy milczącą umową postanowiły „nie dać się młodym”. Było to naturalne: na obozie nie brakowało uczennic, które bacznie okiem obserwowały zachowanie się swych nauczycielek w roli uczennic-rekrutów, na jednym z nimi poziomie w stosunku do instruktorek i komendy stojących. Nie można więc było nawet żartem dopuścić do jakiegoś obniżenia poziomu, niesubordynacji, czy choćby niezdarności w wyglądzie. Z drugiej strony tym poważnym kobietom nie wypadało narażać się na kompromitację wobec młodszych od siebie instruktorek, nie wypadało narażać się na uwagi.

Trzeba zaś było nieraz dobrze wargi zagryzać, by nie wybuchnąć śmiechem na widok „mandarynów” stojących na przegładzie mundurowym ze zwisającymi im z rąk równym rzędem skarpetkami, butami, mundurami roboczymi i t. p. i wodzącymi wzdłuż szeregów komendantką kompanji. Nauczycielki z wielkim trudem utrzymywały powagę, gdy przed dyrektorką gimnazjum przystanęła sierżant-szef z oburzonym wykrzyknikiem:

— Ochotniczka nie ma pasa!

Okrągłutka, pulchna pani, źle poinformowana pojawiła się na obozie w pasie sukiennym, a nie skórzanym i bez patek na kołnierzu. *)

— Skąd ja im teraz pasa wezmę! — zmartwiła się niešťczęsna ofiara. — I jeszcze patki...

*) Polska służba ochotnicza kobiet mundurowała się na własny koszt.

Popatrzyła w zamyśleniu na naszą plutonową, wesołą przemiłą instruktorkę musztry. Olsniona nagłem natchnieniem przynaszerowała do niej i melduje się według wszelkich przepisów z zapytaniem:

— Czy mogę wiedzieć, gdzie się kąpią instruktorki?...

— POCO ochotniczce ta wiadomość?—Zdumiała się plutonowa.

— Muszę krawat „zdobyć”. — Odpowiada ponuro pani dyrektorka — Instruktorki noszą granatowe krawaty, a ja nie mam patek...

Dobry żart tyńfa wart. Kawałek instruktorskiego krawata plutonowej znalazł się po tej rozmowie w rękach pulchnej pani, która corychlej umiznęła się jeszcze do zawsze dobrze zaprowiantowanej naszej gromadki wioślarek o... czekoladę. Do zrobienia patek potrzebna jej była tekturka z opakowania. Na drugi dzień umundurowanie pani dyrektorki nie pozostawiało już nic do życzenia, jako że zapasowy pas znalazł się w naszych plecakach.

Rozśmieszające nas sceny rozgrywały się stale na sali przed inspekcją. Zabawska z etnografką czyściły buty naszej czwórki. Wywdzięczałyśmy się jej za to szorowaniem jej menażek po każdym posiłku, jako że delikatne ręce lekarki nie są przeznaczone do takich niszczących je robót. Na obozie zaś nieraz trzeba było szorować zatłuszczone naczynia piaskiem, bo wrzątek „był, ale wyszedł”. Doktor Sz. poprawiała „kostki” na tapczanach „patałachów” i zagłądała we wszystkie kąty, to ustawiając buty „noskami do przejścia”, to piekląc się o jakieś papierki na dopiero co zamiecionej podłodze. Fizyczka robiła porządek z umywalnią, kubkami i ręcznikami. I właśnie kiedy z westchnieniem zadowolonia kończyłyśmy „prainspekcję”, — najczęściej wtedy zaczynały się jakieś „złośliwości rzeczy martwych”.

Raz złączyły się z machnięciem ręki jednej z młodzieńskich instruktorek sąsiednich dziewczyńskich hufców z za rzeki. Przyszła do nas z wizytą akurat w chwili, gdy doktor Sz. zadarła przypadkiem głowę do góry i... zobaczyła

lampę, wiszącą pod sufitem. Sęk był w tem, że klosz onej naftowej wiecznie kopcącej bestji był pełen sadzy. Żadnej z nas nie chciało się jej czyścić. Biorę się przeto na sposób i powiadam do instruktorki, żeby mi pokazała pozycję przy rzucaniu dyskiem. Jak machnęła ramieniem, tak tę lampę stłukła.

Pięknie! Pędzę coprędzej do magazynu po nową lampę. Powiadają: — Zabrakło. — Zostawiłam pieniądze, żeby corychlej kupili i wracam na salę, a tam moje lekarki powiadają:

— Chytrze to sobie obmyśliłaś, ale teraz wytrzymaj naftę na podłodze.

Takie były jasnowidzące! Nijak nie chciały uwierzyć w przypadek i z tą rozlaną naftą czekały na mnie.

Cały ten zespół z wyjątkiem jednej nieprawdopodobnej „ofermy”, licho wie poco przybyłej na kurs, dokładał wszelkich starań, by świecić przykładem młodzieży. Musztra, wykłady, ćwiczenia w strzelaniu i rzucaniu granatami, później gry polowe stały się w tych warunkach wyścigiem dobrych chęci z obu stron. Instruktorki poczciwie chciały nas nauczyć. Kompanja czyniła wszystko, co było w jej mocy, by dane umiejętności opanować.

Mała zmiana nie do poznania nazewnątrz zaszła po ognisku tradycyjnie rozpalanem wieczorami, ognisku, przy którym Zabawska zaczęła opowiadać o Kijowie i o tej młodzieży, która tam życie za ojczyznę położyła. Zasłuchały się instruktorki, zamilkły rozszeptane szeregi dziewcząt. Szumiał las, trzeszczało ognisko, oświetlając szeregi młodych głów przed ciemną ścianą lasu. Wysoko w ciemne niebo wylatywały iskry.

Gdy Zabawska umilkła, cisza trwała dalej. Po dłuższej dopiero chwili świetliczarki Białego Krzyża, tworzące jeden z plutonów naszej kompanji, przerwały ją pieśnią: „Hej strzelcy wraz, nad nami Orzeł Biały...”. Zabawska patrzyła w płomień. Niewątpliwie przesuwaly się przed nią

wtedy obrazy jej „górnjej i chmurnej” młodości. A po polanie, po lesie, i drożynach niosło się daleko: „A przeciw nam śmiertelny stoi wróg...”.

Na drugi dzień przy wykładzie o organizacji armji instruktorka zwróciła się do Zabawskiej: — A o organizacji służby zdrowia opowie nam pani doktor.

Od tej pory zdarzało się nieraz, że niektóre wykłady uzupełniały słuchaczki. Było to możliwe przy tym niezwykle trudnym składzie kompanji i obustronnie okazywanym takcie.

Na tego rodzaju współpracę krzywiła się jednak komendantka naszej kompanji, ściśle trzymająca się wojskowych regulaminów i o nich nas pouczająca. Bywają tacy oficerowie, którzy nawet Curie-Skłodowską gotowi pouczać o budowie telefonu polowego, a wobec Marconiego byłiby tak wyniośli na wykładzie, że człowiek zacząłby się zastanawiać, który z nich właściwie jest wynalazcą.

Nasza komendantka — w cywilu zacności dusza — była widocznie zdania, że cenzus uniwersytecki wymaga tem mocniejszego wbijania nam w głowy zasad hierarchji wojskowej. Dodawała też sobie powagi sztywnym, oficerskim do nas stosunkiem. No i skutek był — oczywiście — odwrotny: bractwo się wewnętrznie zbuntowało. Nawet dyrektorka O., okrągła, uwielbiana przez swoje uczennice, pełna zawsze dowcipów, rzekłbyś wytryskujących z jej wesołych, filuternych oczu, na widok komendantki kompanji pomrukiwała niechętnie: „Równo, sztywno, z bukietem w rękę...”.

Szerniania rosły. Wreszcie bomba wybuchła przy ognisku. Padał deszcz, urządzano je więc harcerskim dawnym zwyczajem po świetlicach kompanijnych prowizorycznie wokół postawionej na podłodze lampy. Weszła komendantka, omówiła z nami gry polowe, przeprowadzone tego dnia i zarządziła: „Kompanja śpiewa”.

A tu kompanja ani słówka. Gdzie nam, starym „mandarynom” do śpiewu... Przy obozowem ognisku nie było

słyszeć braku naszych głosów. W marszu ratowały sytuację świetliczarki. Ale tego wieczoru i one były zmęczone.

— Nie ma prawa wymagać od nas śpiewania przy ognisku — mruknęła dyrektorka O. Przytaknęłam, jako że o obyczajach w świetlicach żołnierskich pouczył mnie już syn, odslugujący w tym czasie wojsko po maturze i ratujący mnie już nieraz wytłumaczeniem zbyt trudnego dla matki-ochotniczki wykładu P.W. lub lekcji na kursie pilotażu Warszawskiego Aeroklubu. Zabawska pochrząkiwała tylko swoim wieczornym zwyczajem: jak większość wykładowców cierpiała na chroniczną niedomogę gardła. Nauczycielki były oburzone, że ich potrzebującym wypoczynku krztaniom każą pracować. Słowem, zrobiła się cisza.

— Proszę, żeby kompanja na jutro nauczyła się pieśni P.W. — zarządziła komendantka. — Zauważyłam, że panie wogóle nie śpiewają.

Sytuację uratowała doktor Sz., zaczynając grać na harmonji. Ale na upór „nieśpiewającej kompanji” nie było lekarstwa. Wszelkie prośby i apele nawet tak lubianej doktor Sz. i instruktorek nie odnosiły skutku. Zarządzenie było w stosunku do zawodowych „gadaczy” szkodliwe i nie posłuchano go. Na apel nauczycielki musztry na drugi dzień w lesie Zabawską odpowiedziała, że jako lekarz nie może pozwolić nauczycielkom na śpiewanie. A na przypomnienie, „że rozkaz jest rozkazem” odpowiedziałam, że 17 młodych podchorążaków piechoty w Brześciu zostało rozkazem kaprała wyrwanych z gorącej łaźni pónago w dniu 17 grudnia na dwór przy mrozie i na drugi dzień 16 leżało w zapaleniu oskrzeli względnie płuc. Kapral poszedł pod sąd, ale to chłopców nie uzdrowiło. Nie widzę racji naśladowania przez kobiety tego, co w wojsku jest durnym wybrykiem. Jakoż nic nie pomogło: świetliczarki i harmonja doktor Sz. musiały nadal robić hałas za całą kompanję.

Dopiero na pożegnalnym już ognisku przed rozjechaniem się z kursu pierwsza kompanja rozdarła się nagle na

całe gardło. Ułożono zwrotki, jak na okrężne, wytykając każdemu „źdźbło w oku”. Było tam:

*„Sze! nam—wstawać—krzyczy i szuka lusterka,
a gdy rozkaz czyta na spóznione zerka”.*
*„Nasze lekarki nad zdrowiem czuwają:
gdy cię pięta boli, one rękę kraja”.*

I wreszcie to, o co chodziło:

*„Śpiewać komendantka każe nam surowa,
a kompania milczy, jako ta niemowa.”*

Wspomina się to wszystko, jak z przed wieków.

Oto sławetne mandaryny spózniają się na obiad. A był taki obyczaj, że wszystkie cztery kompanje musiały znaleźć się na miejscu, zanim nadeszła komendantka naczelna w otoczeniu instruktorek. Przechodzimy dopiero przez most, a tu przed nami na łące idzie cała komenda naczelna. Bardzo nieprzyjemnie... Wyskoczyłyśmy z tego równemi nogami: idąca na przedzie nasza czwórka przeszła nagle w marsz paradny, następne szeregi automatycznie uczyniły to samo. Rozległ się — jak to się zwykle czyta w pismach — „grzmot miarowych kroków, wpatrzonych w naczelnego wodza oddziałów”. W oblicze coprawda patrzeć nie patrzyłyśmy, jako że naczelna komendantka R. szła przed nami. Ale nasz tupot zmusił ją do obejrzenia się, a że ta kochana kobieta miała nieoceniony takt, więc skończyło się na tem, że komenda zesłała nam z drogi i... przyjęła defiladę.

A oto alarm nocny. Trąbka gra. Kompanja zrywa się na nogi w tak wzorowem milczeniu i ciszy, że po chwili zaniepokojona komendantka kompanji przysłała do nas najlubiańszą z instruktorek, wyobraziwszy sobie, że te zakazane mandaryny zbuntowały się, i przewracają się na drugi bok po uciążliwych ćwiczeniach dziennych. A nie! Służba, to służba, a nie śpiewanie.

W ciszę naszego pośpiechu wpadło nagle gwałtowne rozwarcie drzwi i głośny okrzyk: — Alarm!

A my na to wściekłe: — Cicho, do pioruna! Oj! to pani instruktorka...

Wybiegałyśmy na łąkę, pomagając sobie wzajemnie rulować na trawie koce, przypinać manierki, poprawiać ryzsztunek i zaraz „biegiem na pozycję” przez most na drugą stronę rzeki pod maszt sztandarowy, żeby nas „dzieci” nie ubiegły.

Pognali nas wtedy w noc tak ciemną, że na leśnej drodze, osłoniętej wysokimi konarami sosen, następnego szeregu przed sobą nie było widać.

Nasza czwórka wsparła się mocno ramionami i... po jakimś czasie obudziło mnie chrapnięcie etnografki. Ciemność, szum drzew, miarowy tupot kompanji ukolysał nas dwie w środku idące ku oburzeniu skrzydłowych.

Gdzieś o kilka kilometrów od obozu na porębie zatrzymała nas komendantka i powiada piękną nowinę:

— Kompanja zostaje podzielona na patrole. Macie przekraść się do obozu i zameldować do mnie przy maszcie. Młodsze hufce będą broniły dostępu. Warty zostały potrójone.

„Zosiczka” porwała zaraz swój patrol i zniknęła w lesie. Przejęła od Haliny wyczucie kierunku. No i wpadała też na trafne pomysły. Wynurzywszy się z haszczy gdzieś nad rzeką zamedytowała się głęboko nad „wodnym problemem”.

— Prostu żal mi było nowych butów — twierdziła potem. Miała je zawsze po najgorszej drodze wyczyszczone „jaśniej słońca”.

Rozesłała pojedyncze czujki na dwie strony. I właśnie w chwili, gdy one wracały, posłyszała w pobliżu mostu podejrzany hałas. Zorientowawszy się, że to jakiś patrol „wpadł”, poprowadziła swoją siódmkę corychlej w to samo miejsce. Przebiegła boczną kładkę pędem i warcie z taką pewnością siebie rzuciła: — Nie widzicie, że jeńców prowadzę! — że zanim biedne dziewczęta zdołały się opamiętać, zniknęła im z oczu w zaroślach już na terenie obozu. No, a stamtąd to już było łatwo dotrzeć do punktu zbornego.

Gorzej powiodło się mojemu patrolowi. Ależ wydziwiała później Zosiczka rada z przewagi: — Co wam do głowy strzeliło! Kurniki zdobywać! Zapomniałyście o gęsiach kapitolinińskich... wy, humanistki!

Istotnie, medytując nad przejściem rzeki, broniącej dostępu do obozu, wybrałyśmy niski, zarośnięty krzewami brzeg nawprost kurników i baraku gospodarczego, licząc na to, że prześlizgniemy się pod budynkami niewidocznie, dzięki całym haszczom rosnącym tam łopianów. Tymczasem wysoka, jak tyka, dr. filozofji, cuda opowiadająca o watykańskich bibliotekach i muzeach, a w życiu obozowym służąca nam stale za... miarę do obliczania odległości według znanych formułek o podobieństwie trójkątów, ta właśnie tak nieszczęśliwie chlupnęła w rzekę, wpadając do tego na dwie swoje towarzyszkę, że warta po drugiej stronie podniosła groźny okrzyk. Cała trójka z takim chlupotem zaczęła się wycofywać pod rozłożysty świerk, że hałas ten pozwolił drugiej połowie patrolu dobrać w ciemnościach pod zbawcze łopuchy. Ale tam: katastrofa! Co która z nas zaczęła czolgać się pod ścianą kurnika, gęsi podnosiły wrzask. Warty zaniepokojone wezwały na pomoc cały patrol, który świecąc latarkami przeszukiwał brzeg. Leżałyśmy w błocie z godzinę, zanim uspokoiło się gęsie i warcie gęganie.

A potem trzeba było zsuwać się z powrotem do rzeki pod osłonę brzegu, bo warty chodziły tak gęsto, że „ani we wtę, ani we wtę”. Na dobitkę i tu nie miałyśmy szczęścia: nasze podkute do górskich marszów buty zaczęły wydzwaniać wcale donośny werbel na kamieniach łożyska rzeki. Trzeba je było zdjąć, związać sznurowadłami i z przeproszeniem nieść we własnych zębach, jako że ręce musiały być wolne.

Kiedy nareszcie pod masztem stanęły trzy niemiłosierne umorusane postacie, komendantka powiada:

— A was kto tak sponiewierał?...

Uśmiechała się potem skrycie, słuchając meldunku, ale gdy doszło do słów: „Trzy zostały w rzece, jedna zgubiona w obozie”, — nieszczęsna zaniepokoiła się:

— Potopiliście ludzi!

A ja na to grobowo: — Nic bez ofiar. Pani komendantko, czy już mogę się odmeldować?

— Spieszyło mi się do kąpieli. Wiedziałam, że tamtym nic złego stać się nie mogło, bo nasza tyka-filozofka nie mogła utopić się w płytkiej rzece, a swoje towarzyski byłaby za kołnierze z każdej dziury wyciągnęła.

Szukano ich jednak do świtu. Nic dziwnego. Przeczekując „niebezpieczeństwo” schroniły się na rozłożyste, zbawcze gałęzie świerka i widząc krążące nad rzeką światła latarek, tembardziej nie myślały z nich schodzić.

Ależ się śmiała Zabawska z mojego wyglądu: — Och, pomyśl, gdyby cię syn mógł zobaczyć wtedy, gdy czoigałaś się przez łąkę z butami w zębach. A co powiedzieliby twoi koledzy w redakcji... Elegancka dama w takiej metamorfozie...

Ech, gorzej bywało potem w sowieckiej niewoli *). Leżało się w błocie pod erkaemami koszącymi szereg za szeregiem jeńców. Dostawało się kolbą po plecach, aż żebra pękały. Uciekało z więzienia w księżycową noc w nieznaną okolicę. Szło się samotnie wzdłuż sowieckiej granicy pomiędzy pałacami się wsiami. Ileż to razy stawała mi wtedy w oczach nasza żołnierska służba w Istebnej, przypominająca mi starą sokolską zaprawę przysposobienia wojskowego. Z nas, sportsmenek, zrobiła ona jeszcze bardziej twarde sztuki.

*) Patrz „Przez Płonący Kraj”.

9. P. o. trębacz obozu, Wojtek. **)

Nie należała do naszej warszawskiej gromady instruktorka P.W. Róża Gergelewicz. A pasowałaby do nas, jak ułał. Tak żywo staje mi przed oczami ten „p. o. trębacz obozu — Wojtek”.

Oto głęboka noc. Cisza. W namiotach śpią ochotniczki znużone całodzienną nauką i ćwiczeniami. Nagle z głębokiego snu wyrwa jedną z nich jakiś niepokojący dźwięk. Podnosi głowę i... zrywa się na równe nogi, przeraźliwym szeptem rzucając w przestrzeń magiczne słowo:

— Alarm!

Zrywają się dziewczęta. Ale...

— Koguty pieją — orzeka któraś stanowczo, kładąc się spowrotem.

— Gdzie ci koguty... Wojtek trąbi.

— Wojtek śpi i tobie radzę to samo uczynić.

— Ja wstaję — to alarm. I nie marudźcie, bo znów staniemy ostatnie.

Spór przerwał blask latarki w sąsiednim namiocie i przyciszone głosy. Obóz w ciemnościach staje na nogi.

Nie było na obozie w Istebnej trębacza. Jego obowiązki pełniła ochotnie najmłodsza z instruktorek, wydobywając z czeluści trąbkowych skrętów istic kogucie dźwięki.

Jakże dziś żałuję, Wojtku, że nie mam twojej fotografii, gdy stoisz w blaskach wschodzącego słońca przed namiotem z trąbką przy ustach. Odchylona w tył głowa, śliczny profil, złotowłosa czupryna, równo, po pacholęcemu ucięta... (ona to zyskała Ci to koleżeńskie przezwisko: Wojtek). Ładne ruchy, zgrabna, smukła postać.

**) P. o. znaczy: pełniąca obowiązki.

I jakież talent zdobywania sobie posłuchu wśród hufców szkolnych, wśród tych rozbrykanych dziewcząt, które — zdawałoby się — w żaden sposób nie dadzą się ująć tak młodziutkiej instruktorce. Stare „mandaryny” — a większość była wśród nich nauczycielek — patrzyły na Ciebie z uznaniem. Chwytałaś za serca swobodą obejścia i tak umiejętnie łączoną z nią stanowczością.

Mówiliśmy z Tobą otwarcie o tych brakach, które u niektórych instruktorek wyrabiała zbytne przejęcie się wojskowością. Dziś widzę, że i wśród kobiet mogą wyrobić się typy takich „zawodowców”, którzy tak daleko odchodzą od żołnierza, że już do niego podejść nie potrafią. Jakby z księżycą przyszli. Mówiliśmy o tem, że ten sam błąd popełniali rodzice, którzy cały swój autorytet opierali na wtlaczaniu dzieciom do głowy, że oni „zawsze mają rację”.

Tobie, Wojtku, można było opowiedzieć bez obawy nawet o „siwym koniu” mego synka. A był to przedmiot tyłu wydziwiań na temat „anarchistycznego wychowania” ze strony innych nauczycielek, którym zdarzyło mi się to opowiedzieć.

— Chłopiec miał lat 9, gdy został zbuczony za to, że przy powitaniu nie pocałował w rękę pewnej starszej, siwej pani.

— Nie lubię jej — bronił się.

I wyłożył zupełnie słuszne racje swego nielubienia, przypominając bardzo niepiękny postępek tej osoby z zakresu intrygi między jego krewnymi. Odpowiedziano mu na to, że jest za mały, by sądzić starszych, że „siwe włosy ma obowiązek uszanować”. A na to posłyszano odpowiedź:

— To każdego siwego konia też mam w kopyto całować, dlatego że siwy...

Ty, Wojtku, uśmiechnęłaś się na to swym smutnym, choć młodzieńczym uśmiechem i powiedziałaś: — Oj, nie będzie mu dobrze w życiu.

Wtedy pierwszy raz zauważyłam, że uśmiech, rozjaśniający Ci twarz, nie zawsze przenika do oczu, w których za-

trzymał się cień... własnych może przeżyć. Mówiliśmy potem jeszcze o doli nauczycielek — wychowawczyń. I wtedy w Tobie, pozornie tak pełnej radości życia, tak zamkniętej w swej pracy, odkryłam to znużenie, które tak starannie taiłaś przed swoimi dziewczętami, znużenie walką o wychowanie nowego typu pionierów, dostosowanych do nowych warunków, ale umięjących, gdy trzeba, walczyć samotnie, jak ongiś walczono w Polsce.

Wpatrzyłaś się wtedy w zachodzące słońce i mówiłaś o swojej Grodzieńszczyźnie, o tkwiących w ludziach ukrytych siłach, o konieczności osiedlania się w zapadłych wioskach i miasteczkach wykształconej młodzieży, która wytwarza w wielkich miastach „nadmiar inteligencji”, kandydującej o posady, zamiast brać się do samodzielnej pracy, do organizowania placówek spółdzielczych, do wydobywania ukrytych sił i inicjatyw, do tworzenia nowego, lepszego życia.

Był jasny słoneczny dzień lipcowy. Siedziałyśmy na kłodzie pod lipą przy trakcie. Przed nami szumiał las. Z leśnej drogi za mostem przy źródle skręcała ku nam któraś kompanja, wracająca z ćwiczeń. Dochodziły słowa pieśni:

— „Przyjdzie kiedyś czas,
zrozumiemy nas...”

Eh, Wojtku! I dziś jeszcze ten czas nie przyszedł, choć przewaliło się nad nami całe piekło...

Rozstałyśmy się pierwszego sierpnia. Ja jechałam na zachód, Ty — na wschód — na odczynek przed nowym rokiem ciężkiej pracy. I... już Cię więcej nie zobaczę.

O Twojej śmierci mówi mi tylko krótka notatka: „Poległa w Grodnie na czele hufca szkolnego...”.

Młodzieńcza, jasna głowa z pacholęcą czupryną przesunęła się przed memi oczyma. Idą za nią zuchowate, świetnie wyćwiczone szeregi dziewcząt. Pamiętam, jak wyróżniał się w mustrze i defiladzie ten „Wojtkowy hufiec”. W uszach brzmi miarowy tupot maszerującego oddziału.

Poszły... na Wieczną Wartę.

10. Po wybuchu wojny.

Zabawska po skończeniu kursu nie wróciła od razu do Warszawy. Została na obozie „już z czystej miłości”. Zjechały się nowe „mandaryny” — przyjaciółki. Brakowało tylko Haliny. Ta ganiała po całej Warszawie z przyległościami w poszukiwaniu ukradzionego jej psa. Ale to już jest inna historia, jak mawiał Kipling.

Wyjechałam z Istebnej na długi objazd kraju. Odbywały się wtedy liczne kursy w Poznańskim i na Pomorzu. Stamtąd ruszyłam na objazd ośrodków Wczasów Robotniczych, ciągnących się od granic Śląska Cieszyńskiego pod Horodenkę nad Dniestrem, wzdłuż całej południowej granicy. Wróciłam do stolicy na parę dni przed wybuchem wojny.

Zabawska organizowała wtedy wydział służby zdrowia w centrali przysposobienia wojskowego kobiet.

— Nie mogę zrozumieć co się dzieje, — mówiła zrozpaczona. — Toż wojna łączy chwila wybuchnie, a my — lekarze — dotychczas nie otrzymaliśmy wezwań mobilizacyjnych. Zwracałam się do ministerjum z zapytaniem. Bez odpowiedzi. Samych lekarek jest w Polsce 2.000. Trzeba je przecież wziąć do pracy na miejsce tych, którzy pójdą do szpitali polowych. Trzeba zorganizować opiekę sanitarną dla ludności poza frontem. Toż to będzie wojna lotnicza i gazowa. Zwracałam się do Czerwonego Krzyża, — też zbywają wymijająco. Nic nie rozumiem.

Gryzło ją, że ona, stary bojowiec, lekarz wojny bolszewickiej, stoi poza armją bez przydziału wojskowego.

Nikt z nas przecież nie wiedział nic wtedy o toczących się między Polską a Anglią i Francją pertraktacjach, w wyniku których mobilizacja w Polsce została wstrzymana na

żądanie sprzymierzeńców, którzy do ostatka ludzili się, ze ustępliwość i „nie drażnienie” Niemców zapobiegnie wojnie. Tak! Tym razem świat dokładnie stwierdził, kto jest napastnikiem, ale za to zapłaciła Polska... niepodległością i piekłem na ziemi.

Zabawska wówczas dochodziła do wniosku, że chyba mobilizacja jest przeprowadzona w ogromnej tajemnicy i że kobiety zostały pominięte.

— „Znowu odpychają kobiety, czy co! Co to ma znaczyć... Żadna z moich koleżanek nie dostała wezwania”.

Zamiast wezwania dostałyśmy nowinę z M. S. Z. Mianowicie jedna z dziennikarek powiada mi 24 sierpnia:

— Wyjeżdżam dziś wieczór do Francji. W M. S. Z. zapewnili mnie, że wojny w tym roku nie będzie.

Opowiadam o tem Zabawskiej, dodając, że niepokoi mnie ta niezwykła ufność w pokój wobec tego, że świeżo objeżdżając granice kraju, słyszałam o prowokacjach ze strony Niemców, o przekraczaniu granicznych strumieni, bójkach i t. d. A jednocześnie nie zauważyłam żadnych umocnień na granicach choć przecież — jako stary dziennikarz i nadgraniczny „łazik” — patrzeć umiem. Połowę maja spędziłam na przekradaniu się tam i nazad na Słowację, skąd ciągnęli do Legionu Czeskiego gen. Prchali w Polsce, uciekający z Moraw Czesi. Przecież razem z granicą słowacką i pruską mamy zgorą 2.100 kilometrów granicy przecim Niemcom!

Zabawska rzuciła się z oburzeniem: — Jak możesz podejrzewać, że tam nic nie przygotowane! Przecież w sztabie niema warjatów! Ręczę ci, że się wszystko przygotowuje, tylko pocichu. Umocnienia muszą być świetnie zamaskowane.

Nie wiem, czy wierzyła w to, czy było to tylko rozpaczliwe dodawanie samej sobie otuchy. Ale na drugi dzień powiada mi:

— No, możesz być spokojna co do Śląska. Pytałam: tam są duże roboty prowadzone.

Warszawa przybierała już wygląd miasta, gotującego się do obrony przeciwlotniczej. Wykupowano czarny pa-

pier i tkaniny do zasłaniania okien. Ustawiano kubły z wodą i sypano kopce piasku do gaszenia bomb zapalających na strychach. Kopano wszędzie rowy przeciwołamkowe.

Wioślarki poszły całą hurmą do kopania w ogrodzie szpitala przy ulicy Książęcej. Grunt tam był gliniasty, skawalony przez suszę. Gdy na głębokości jednego metra pokazały się resztki starych murów z dawno nieistniejących budynków, okazała się potrzeba oskardów. Stary prezes Sokoła ś. p. Adam Zamoyski, przyglądający się robocie, na drugi dzień dostarczył nam 20 sztuk. Był to czwartek. Wioślarki wracały z pracy przez miasto z oskardami na ramionach.

A w piątek... zaczęła się wojna.

Na warszawskie przedmieścia spadły pierwsze bomby. Koło, Ochota, Czyste, ulica Grójecka, lotnisko na Okęciu... Zabawska miała dużo roboty w szpitalu. Przez dwa dni nie widziałyśmy się.

W poniedziałek wieś Wólka Węgłowa za Łomiankami, godzinę od Warszawy, została o godz. 9 rano zbombardowana i zszeczona karabinami maszynowymi. Zawiadomiona telefonicznie o braku pomocy sanitarnej dla rannych, wezwałam na ratunek Zabawską. Zabrała Halinę i Jasię, jako pielęgniarki (Cała setka wioślarek przeszła wielomiesięczny kurs pielęgniarstwa) i poszłyśmy do Czerwonego Krzyża po karetkę sanitarną. Samochód Zabawskiej był już zarekwirowany przez wojsko. Karetki nie chciano nam dać: część była w rozjeździe, część stała w pogotowiu na wypadek nowego bombardowania miasta. Tego dnia Niemcy walili w Grochów i Pelcowiznę.

Urzednicy P. C. K. twierdzili stanowczo, że niemożliwe jest, by wieś tak długo pozostawała bez pomocy. Zatelefonowałam do wydziału prasowego Komisarjatu Rządu, by przez policję sprawdzili telefonem, co się w Łomiankach dzieje: czy wysłana pomoc do wsi.

W ciągu kwadransa przyszła odpowiedź: — Wieś od 6 godzin czeka na pomoc. Wielu rannych jest nawet bez prowizorycznych opatrunków.

Wtedy dopiero P. C. K. wysłał pomoc ze swoimi pracownikami.

Łomianki, nie należące do obszaru miasta, oczywiście pomijane były stale w objazdach sanitarek miejskich. A później, podczas walk pod Warszawą składano tam dziesiątki rannych. Dopiero w połowie października doszła do ruin Warszawy wieść, że tam leżą ranni żołnierze bez pomocy, na słomie, w ziemie. Szpital Maltański wystarał się o wozy i konie i... ujrano wtedy gehenną równą warszawskiej: ranni z zaropiałymi ranami, w których zaległy się robaki, leżeli na przegnitej słomie z odleżynami tak strasznymi, że ciało odpadało od kości. Wielu z nich miało na wierzchu nagie kości krzyża, wielu umarło na zapalenie opon mózgowych...

Och, niechże choć wieść o tych męczennikach nie zaginie w pamięci polskiej! Tak umierali ranni w obronie Ojczyzny! — Niemcy nie dali tym rannym żadnej pomocy sanitarnej.

Warszawa, sama krwawiąca śmiertelnie, musiała myśleć jeszcze i o okolicznych tragediach.

Zabawska dopiero w nocy na 5 września dostała kartę mobilizacyjną i rozkaz objęcia szpitala gdzieś na prowincji. Rano, idąc na pociąg, doznał goniec wojskowy z następnym rozkazem pozostania w Warszawie.

A wieczorem jak grom, uderzyła w nas wiadomość o decyzji władz — tej pierwotnej — oddania stolicy bez walki, oszczędzania miasta półtoramiljonowego. Przez radio rozległy się wezwania, by młodzież i ludzie zdolni do noszenia broni wychodzili na wschód, za Wisłę. Ministerja i urzednicy wyjeżdżali. — zostawały organizacje społeczne. Czynności policji obejmowała milicja obywatelska.

W nocy na 6 września nastąpiła zmiana decyzji: do ministerjum spraw wojskowych i zarządu miasta zgłosiły się Legja Akademicka i delegacje ludności, żądające broni dla obrony stolicy. Prezydent miasta, Stefan Starzyński wkroczył na swoją drogę do nieśmiertelności.

Na jego wezwanie przez radio rankiem tłumy uchotników ruszyły do kopania okopów. W poszczególnych dzielnicach miasta przygotowywano się do walki ulicznej o każdy blok domów. Kobiety organizowały opieki domowe, przejmowały całą służbę obrony biernej.

11. Padli na polu chwały.

Niemcy nadciągali coraz bliżej. Odcinali stolicę od reszty kraju kolumnami tanków, okrążających ją od północy i od południa. Rzucali na miasto całe fale samolotów, pokrywających błękitne niebo czarną chmurą. Bomby waliły w mosty i stacje kolejowe, w ogromne bloki domów robotniczych.

Rozgrywały się dantejskie sceny, dziś znane wielu miastom Europy — wówczas pierwsze w tym szatańskim zamachu na kulturę i cywilizację świata.

Z walących się domów wyskakiwali przez okna ludzie, odłamki bomb rozszarpywały im brzuchy, ścinały jak nożem czerepy czaszek, mózgi rozpryskiwały się na kamieniach. Po ulicach czołgały się krwawe widma, wlokące za sobą potrzaskane nogi. Ratownicy ślizgali się na krwawych szczątkach, na wywleczonych z ludzkich ciał jelitach. A taka jest straszna moc ciała ludzkiego, że jedna z kobiet, przywiezionych do szpitala z w y r w a n y m i w n e t r z n o ś c i a m i , z pustą jamą brzucha, żyła jeszcze trzy dni obląkana, nucąc piosenki w przerwach niehumanitarnego skowytu.

Wtedy to przy jednym z takich zburzonych domów spotkałam ostatni raz ś. p. Bronisławę B. W., w dwa tygodnie później zabita podczas obrony Warszawy.

...Nie wymienię Twego nazwiska, Bronko. Wśród 60.000 poległych w obronie stolicy we wrześniu, będzie i ono wryte na jej murach, by po wieczne czasy przypominać potomnym śmiertelną bitwę o HONOR i OJCZYZNĘ.

Dziś tam, w ruinach męczeńskiego miasta chronią się nie-dobitki Twej rodziny. Wrogowi wystarcza lada pretekst...

Należałaś do tych, które z dumą i oburzeniem odrzucały myśl wyjazdu z Warszawy przed jej oblężeniem. W Twojej rodzinie starzy ludzie ze zgrozą czekali na nadciągające niemieckie armaty. Huk bomb, walących w kościół naprzeciw mieszkania, stawiał im przed oczy grozę gorszego od śmierci kalectwa i długiej męki konania.

— Wojna jest taka straszna... Boże, jak ja się jej boję, — mówiła wasza staruszka.

Ale ...nikt z was nie wyjechał. „Jak umierać — to już razem”.

Dwadzieścia lat temu patrzyliście suchymi oczami na trumnę, w której po bitwie nad Bugiem przywieziono posiekane kozackimi szablami zwłoki Twego brata. Prosto z uniwersytetu, z drugiego kursu poszedł bić się z barbarzyńską od Wschodu nawałą. I pozostał już nazawsze dla nas młodziutkim ułanem z krwawą na piersi plamą i pękiem białych róż na niej.

Ty, młodsza od niego, umarłaś starszą. Dziś stoicie razem na Wiecznej Warcie u polskiej strzaskanej Bramy.

A trzecie z was... kapitan, ów ongiś Michaś 16-letni, który szedł pomścić śmierć brata... Gdzie on jest? Śladu jego znaleźć nie mogę.

Oto znów jedna polska rodzina, której dzieci w ciągu 20 lat wybił wróg. Zostali starcy nad grobem stojący.

W waszym rodzinnym Płocku na murach odbudowanego gimnazjum wypiszemy znowu z powrotem imiona Staszka i jego kolegów, ale Twoje zabierze Warszawa.

Daruj mi, że tak mało piszę o Tobie. Boję się... poprostu boję się każdego słowa, bo tam w oblężonej po dziś dzień stolicy, gdzie dudnią po ulicach kroki siepaczy, gdzie w ogrodzie sejmowym i na podwórzu zamienionego na każ-

nię Gestapo polskiego ministerjum oświaty leżą zasypane wapnem zwłoki mordowanych, tam pozostali Twoi staruszkowie.

A oni... tak się bali wojny.

Wtedy, we wrześniu, tam, na warszawskim przedmieściu spojrzaliśmy na siebie i jednakowym ruchem bez słów wyciągnęliśmy do siebie ręce krwawe od zbierania ludzkich porozrywanych przez bomby szczątków.

Jakże dziwnem było wtedy to przez nas obie jednocześnie odczute uczucie lekkości naszych rąk. Krew jest bardzo lepka...

A krew bezbronnych wypala w sercu jątrzące się rany...

Rozeszliśmy się bez słowa. Były one zbyt blade dla wyrażenia naszych uczuć.

Tego dnia zabrakło w Warszawie karettek sanitarnych dla zbierania rannych. A przecież był to dopiero początek.

12. Warszawa się broni.

Gruchnęło wtedy we mnie nieszczęście jedno za drugim *). Chodziłam cały dzień, jak obłąkana, z wizją syna w oczach, nie mając odwagi zwierzyć nikomu złej wieści, bojąc się powiedzeniem „w złą godzinę” przekreślić wątku cię nadziei. Tymczasem na drugi dzień Zabawska zatelefonowała mi kategorycznym tonem, że ma wiadomości z ministerjum:

„Lotnisko zbombardowane, ale Krzyś ocalał”, bo „nie ma go na liście strat”.

Wieczorem ządzwonila Halina, namawiając, by przyjść do Zabawskiej: — Co macie sami siedzieć, jak borsuk w norze. Przyjdźcie, przenocujecie u nas.

Poszłam. Zwalila się na nas znów tego dnia hiobowa wieść: upadek Westerplatte.

Powiedziałam Zabawskiej, że wobec redukcji w redakcji wychodzę z Warszawy na wschód, by być bliżej syna. Eskadra wyszła z Sadekowa, jest za Wisłą, — nie mam pocu tu siedzieć.

Nawet Tobie, Przyjacielu serdeczny, nie zdołałam wykrztusić strasznej wieści o bombie, która zabiła sześciu podchorążaków.

A może Ty też jego nazwisko między nimi posłyszałaś i te zapewnienia były tylko ratowaniem w nieszczęściu, „bogobojnem kłamstwem”... Dziś wiem, że nie były przesyłane wtedy do ministerjum żadne listy strat. Skądże więc

*) Patrz „Przez Płonący Kraj”.



ten Twój kateryczny ton... I skąd nagle ten wieczorny telefon Haliny, kiedy nigdy do tego czasu nie nocowałam u was... Tak, dziś widzę, że musiałyście wiedzieć... Nie wiedziałyście tylko, że on wtedy naprawdę ocalał. Widocznie dlatego Zabawska nacierała rano, by nie jechać do Radomia, a potem tak skwapliwie umożliwiła mi wyjazd na wschód swoją pożyczką.

Widzę Cię, Przyjacielu, stojącą rankiem na brzegu chodnika, gdy po raz ostatni chwytalam Twój wzrok, żegnając nie mnie... kogoś, kto stał Ci się bliższy w ostatnich dwóch latach i kto pod Twoją czułą opieką zostawił żonę i córkę, odchodząc na daleką służbę. Kochałaś go, jak brata i Twoje żyro pod jego nazwiskiem kazało mi uważać go za uczciwego człowieka. Pamiętam, jak wskazałaś mi go wzrokiem, prosząc o pomoc braterską w razie potrzeby. I jak skinęłam Ci uspakajająco głową w odpowiedzi.

Nie zapomniałam tego przyrzeczenia, Przyjacielu. Przyszedł taki czas, że stawałam w jego obronie... na Twoje z przed wojny jeszcze słowo poręki.

Nie ujrzałyśmy się więcej.

W parę dni później pochylona nad biurkiem redakcyjnym w Łucku, gdzie powstało nowe pismo, chwytalam przez radio zagłuszane przez Niemców komunikaty z oblężonej stolicy.

Ludność bije się razem z wojskiem, rzuca na tanki butelki z benzyną i palącym się lontem. W ten sposób w ciągu 2 dni spalono 22 tanki niemieckie. Dla mieszkańców zbombardowanych domów otworzono 52 punkty ratunkowe. Wobec konieczności oszczędzania opału i żywności otwarto kilkadziesiąt kuchni masowych.

„Nie wiercie komunikatom niemieckim! — wołała Warszawa — Bijemy się. Nie poddajemy się. Czekamy na pomoc!”

Stefan Starzyński codziennie przemawiał przez radio. Wydawał rozporządzenia, dziękował ludności za wspieranie po-

stawę moralną, cytował przykłady bezimiennego bohaterstwa.

Jego przemówienia parokrotnie przerywały wezwania ochotników do jakiejś natychmiastowej akcji ratowniczej. Wzywano rejestrowanych krwiodawców, by natychmiast spieszili do szpitali oddawać krew rannym, mrącym z upływu krwi. Wzywano ochotników do aptek. Warunki obrony stawały się coraz trudniejsze. Zabrakło lekarstw, zabrakło bandaży, ludność darła bieliznę na opatrunki.

Trzebaby kreślić setki obrazów, by dać istotny obraz rzeczywistości.

Dziś, gdy kobiety Anglii zdobywają sobie gorące słowa uznania za dzielną walkę z pożarami, wzniesionymi przez bomby zapalające, gdy z dziesiątków szpitali ochotnicze drużyny ratownicze wynoszą chorych pod gradem bomb kruszących, a Home Guard stoi na straży całego kraju przeciw inwazji spadochroniarzy, — postawa ludności Polski we wrześniu 1939 r. znalazła częściowo swój odpowiednik. Częściowo, bo... Polska nie ma Kanalu.

Wtedy, jesienią 1939 r. bezprzykładne w dziejach nowoczesnych były te postacie kobiece, które w łunach setek pożarów płonącej Warszawy pojawiały się na dachach domów, by walczyć z ogniem przy świetle przelatujących pocisków armatnich. We wspomnieniach ludności Powiśla pozostaną nazawsze te zakonnice, które broniły przed pożarem gmachów klasztornych, mieszczących zakłady opiekuńcze dla dzieci i starców, szkoły i internaty dla dziewcząt. Niezapomniane będą te młodzieńcze postacie, wynoszące rannych z bombardowanych szpitali, gdy waliły się w gruzy całe pawilony, druzgotane armatnimi pociskami, obsypywane gradem bomb z samolotów.

Anglija miała czas na przygotowanie obrony. Nie brak jej ani maszyn, ani narzędzi pożarniczych, ani pomp, ani lewarów i drabin, ani motorów przy wozach.

My musieliśmy improwizować ratunek wśród bezustannego dnia i nocą bombardowania z powietrza i ładu. Lud-

ność Warszawy trwała w obronie bez wody, gazu, elektryczności, bez schronów, z nikłymi zapasami żywności i lekarstw. Żyła w ruinach, w gruzach własnych mieszkań, jak jaskiniowcy.

I była odcięta od kraju, otoczona nieprzyjacielską armją. Prowadziła rozpaczliwą walkę bez nadziei na odsiecz.

Głosem ginących na ulicach bez skargi był apel Starzyńskiego przez radio do całego cywilizowanego świata:

„Ci polscy mężczyźni, kobiety i dzieci nie biją się na próżno, bo nie biją się tylko o wolność swego ojczystego miasta, ale o wolność całej Europy. My wiemy, że nasi przyjaciele chcą nam pomóc i pomogą. Nasze życia mogą teraz być w niebezpieczeństwie, ale nasze dusze pozostaną nieugięte. Będziemy się bić do ostatniego człowieka. Będziemy stać na posterunku nieugięci, ze świętą wiarą w ostateczne zwycięstwo po tej ciężkiej godzinie. Nadejdzie dzień zwycięstwa”.

Warszawa biła się do ostatniego naboju, do ostatniego kubła wody.

Mury Warszawy pozostaną na zawsze świadectwem nieugiętej duszy narodu. Na wieczną chlubę Polski pozostanie w historii świata, że Polska pierwsza przeciwstała się Niemcom z bronią w ręku. Poszła w bój, chociaż jej sprzymierzeńcy nie byli w stanie dopełnić żadnego ze swych zobowiązań uroczyste wobec niej powziętych.

Wybrała wojnę, choć mogła była wybrać ...układy. A wtedy jaki byłby los Europy? Dziś wiemy, że ani Francja ani Anglja nie były zdolne przeciwstawić się Niemcom na jesieni 1939 r. Gdyby Polska nie wybrała wojny, tylko poszła drogą, jaką poszły Węgry, drogą negocjacji, drogą ustępstw i współdziałania z Niemcami, — olbrzymia maszyna wojenna Hitlera potoczyłaby się na Zachód. Te osiem miesięcy czasu, jakie Polska swoją rozpaczliwą obroną dała sprzymierzeńcom, zmuszając Hitlera do uzupełnienia strat

poniesionych w kampanji polskiej, ten czas będzie podkreślany na kartach historii tej wojny.

Wtedy, tej słonecznej polskiej jesieni 1939 r. wiara w pomoc Zachodu była tak silna w Polsce, że cały kraj co dnia wypatrywał na niebie angielskich lotników.

— Anglicy nigdy nie łamią danego słowa, — mówiono. — Przyjdą z odsieczą, byle wytrzymać jeszcze tydzień, dwa...

Nikt wtedy w Polsce z „ludzi ulicy” nie przypuszczał, że Francja ma zaledwie tylesamo samolotów bojowych, co Polska, a potężna Anglja również podobno nie mogła przysłać ani jednej eskadry na pomoc.

Wiść o zrzuconych nad Niemcami ułotkach angielskich przyjęta była z osłupieniem...

Zamiast spodziewanych sprzymierzeńców nadlatywali Niemcy. Brześć, Kowel, Łuck, Krzemieniec i dziesiątki innych miast wschodniej Polski, nietylko środkowej, bombardowane były dzień za dniem.

13. Walka z dywersantami.

Po całym kraju grasowali spadochroniarze i szpiedzy niemieccy. Wyłapywanie ich było trudne, bo korzystali z chaosu, wywołanego napłynięciem mas uchodźców z za Wisły. Łatwo im było wmieszać się między ludność, uciekającą z zachodu i z jej grupami dotrzeć aż na samo południe, by tam szerzyć najfałszywsze wieści. Spadochroniarze nie schwytni od razu przy ziemi, przepadali bez śladu, przyłączając się prosto do pierwszej lepszej grupy uchodźców.

Rzucani na Polskę dywersanci-spadochroniarze wybrani byli z pośród młodzieży niemieckiej, znającej język polski i teren, naskutek pochodzenia z rodzin niemieckich kolonistów, osadzanych w Polsce w czasie jej niewoli, wskutek pruskiej polityki agrarnej, niewiele różniącej się od hitlerowskiej kolonizacji obecnej ziem polskich. Niemcy ci, korzystając z polskiej humanitarności i naiwnej wiary w ich lojalność, nie byli zlikwidowani po wojnie 1918 r., przeciwnie cieszyli się całkowitem równouprawnieniem z Polakami, mimo, że Polacy pozostali pod zaborem niemieckim na Pomorzu Szczecińskim, w Opolu, Prusach Wschodnich, na Warmii nie mieli praw narodowych pod rządami Rzeszy i byli traktowani, jak żywioł skazany na zagładę.

Na skutek działalności Niemców mieszkających w Polsce, akcja dywersyjno-szpiegowska rozwijała się szybko.

Kontrakcja szła dwoma drogami: przez organizację służby pomocniczej wojskowej, do której garnęła się młodzież polska — i przez samorzutną współpracę ludności roz-

żartej nalotami bombowców niemieckich na nieobronne miasta i wsie. Młodzież strażowała nocami na strychach domów, by wysledzić sygnalistów, rzucających słynne koliste i półkoliste sygnały świetlne, pilnowała po lasach.

Ileż poznałam wtedy znowu dzielnych typów młodzieży...

Oto Baśka K. z drużyny wartowniczej z pod Łucka. Świeżo „upieczona” maturzystka, osiemnastoletnia panna o bujnych blond włosach, szarych oczach, tęgawa, ale zgrabna. Pełna energii, śmiała, „gwizdząca sobie na bomby”, wesoła i dowcipna.

Poszłam z nią na nocny dyżur w zastępstwie rannej odłamkiem bomby jej koleżanki. Na strychu młyna nad rzeką przesiedziałyśmy całą noc z oczami wlepionymi w rozciągającą się przed nami łąkę i za nią las gęsty, wysokopienny.

Oto gdzieś tam, nad rzeką przed nami wyleciał w górę błysk światła. Z prawej strony wśród przycupniętych przy ziemi chałup wsi błysnęło tak samo. Rozmowa szpiegów. Niemcy w dzień zrzucili spadochroniarzy na leśne polanki. Teraz oni podchodzą do wsi, szukając niemieckiego kolonisty, który ma ich przeprowadzić „na robotę”. Na skraju lasu pojawił się cień, wyrósł, jak z pod ziemi. Zakreślone latarką koło daje znak.

Na strychu młyna ukryty w kącie telefon ożywa cichym szeptem. Idzie meldunek do komendanta Obrony Narodowej.

Gdy zaczęły iść transporty wojsk na Dubno i Krzemieniec, wiele z pośród tej młodzieży wyprosiło sobie broń od kaprali i poszło z wojskiem. I gdzieś tam, między Łuckiem i Dubnem grupa takiej młodzieży otoczona została przez wracające do Polski wojska bolszewickie. Wybuchła walka... krótka, bo bolszewicy prali karabinami maszynowymi, a nasi mieli tylko zwykłe. Część padła, część zdołała uskoczyć w zarośla.

Wśród nich była w męskim przebraniu idąca Baśka K. Udało jej się później dotrzeć aż do Tarnopola. Tam ją spotkałam, już pod bolszewickimi w Polsce rządami. Energji nie straciła.

— Ja znam świetnie nadgraniczne powiaty — mówiła. — Takie, jak ja, będą teraz potrzebne.

Jakoż wezwano ją do pracy w jednej z naszych organizacji konspiracyjnych. Tam po omówieniu pewnych zadań, o których nie pora teraz pisać, straciłam ją z oczu.

Roboty było wiele. Młodzież przemykała się, jak mogła, zagranicę do formującej się na nowo we Francji armji polskiej.

Gdy w Stanisławowie spotkałam jedną z koleżanek Baśki, na pytanie o nią machnęła desperacko ręką:

— Koniec! Niema już dziewczyny. Od tygodnia ziemię gryzie.

Zastrzelili ją bolszewicy nad rumuńską granicą pod Kutami.

14. Śmierć dr. Zofji Zabawskiej.

„Nikt im iść nie kazał, poszli bo tak chcieli”... Żadna z tych kobiet polskich, które tak poprostu podejmowały prace konspiracyjne, jak naturalnie pracowały w czasie wojny, żadna z nich nie zastanawiała się ani chwili nad drogą, jaką iść trzeba ku wyzwoleniu Ojczyzny. Stworzenie na nowo armji polskiej i wytrwanie kraju w opozycji było hasłem wszystkich. „Nikt o nic nie pytał, a wszyscy wiedzieli”...

We Lwowie na alicy stanęła nagle przedemną jedna z warszawskich studentek. W czasie wybuchu wojny była razem z czworgiem młodszego rodzeństwa na Wołyniu w swoim majątku na wakacjach. Gdy wkroczyli bolszewicy i zaczęło się mordowanie ziemian po dworach, ona z młodszym bratem wyratowała rodzinę z opresji. Założyli konie do wozu, wrzucili nań parę łomoków z rzeczami, wpakowali na nie chorą ciotkę i młodsze rodzeństwo i uciekli przed idącą na dwór bandą komunistów. We Lwowie zarabiali wynajmowaniem koni, sami je obsługując. Rodzice byli w Warszawie, niewiadomo, żywi, czy zabici.

— Ja muszę odwieść dzieci do Warszawy i tam pracować, ale Staszek pójdzie z wami, — zdecydowała młoda panna, dowiedziawszy się o naszej robocie. — Musi mi tylko najpierw pomódz w przedostaniu się przez linię demarkacyjną okupacji sowieckiej, bo sama z chorą i z dziećmi nie podołam przejść.

Jakoż młodszy od niej o dwa lata brat, pomógł tej gromadce przedostać się pod Przemyślem na stronę okupacji

niemieckiej i sam przeszedł naszym śladem na Węgry. Dziś służy w armji polskiej w Anglii.

— Zabawska... Dajcie mi znać o Zabawskiej, — prosiłam, dając Marysi polecenia i adresy moich warszawskich przyjaciół.

Zabawska była ustawicznie w naszych myślach. Nie miałam nadziei na dobre wieści. Zbyt dobrze stała mi w pamięci ta noc z 25 września (1939 r.), gdy mnie śpiącą na słomie w wilgotnym zimnym kącie zbudził głos Zabawskiej. Wołał na mnie z oddali nagłaco, wzywał, chciał czegoś ode mnie. Nie mogłam zrozumieć słów.

I wtedy oddalona od niej o setki kilometrów, myślałam... tylko o nim, o moim błękitnookim jasnowłosym jedy-naku, zagubionym kędyś w bitewnych ogniach, szukany poranionymi stopami w konwojach sowieckich jeńców. Śkulona z zimna i bólu szeptałam rozpaczliwie modlitwę, są-dząc, że to o nim mówi mi ona coś, ...oby nic złego! *).

Długo nie miałam wieści.

Dopiero już we Francji ta kartka: „Dr. Zabawska zgi-nęła na posterunku dnia 25 września, opatrując rannych w bombardowanym pawilonie szpitala Dzieciątka Jezus. Po-chowana 26 października na cmentarzu wojskowym na Po-wązkach”.

A potem... potem druga — Bóg wie — prawdziwa czy fałszywa relacja:

„Zasypana gruzami żyła jeszcze parę dni, pukała w ścianę, wołała: — „Jestem tutaj”.

*) Ś. p. podchorąży — pilot Jerzy Stefan Zaleski, zwany w rodzinie i w harcerstwie Krzysztofem, zginął 19 września 1941 r. w locie nad Anglią. Mianowany podporucznikiem 10 października 1941. Grób na cmentarzu w Lyneham-Chippenham, Wilts.

Ratownicy nie mogli dotrzeć do niej: waliły się na nich potrzaskane ściany, odcinały dostęp pękające wokół armatnie pociski...”.

Przyjacielu! Przyjacielu!... Nie chcę w to wierzyć... Tyle fałszywych wieści słyszałam przez ten czas...

Tylko czasem w gorączkowych widziadłach choroby zja-wia mi się znów przed oczami polski wrzesień i znów słyszę Twój głos i... zrywam się, by iść Ci na pomoc.

Byłaś przy mnie zawsze w każdym bólu i w każdym nie-szczęściu. Dziś na samem dnie nieszczęścia rozwiął nas sa-motne po świecie wichry dziejów... bez Ciebie.

Zaczęłaś życie walką o Niepodległość Polski, — skończy-łaś je śmiercią w obronie Warszawy.

Piękne życie — piękna śmierć.

15. Nikt im iść nie kazał...

„A gdy na wojenkę szli Ojczyźnie służyć,
wicher wiał im w oczy od rozstajnych dróg,
niebo się nad nimi poczynano chmurzyć,
pod deszczową chmurą krakał w polu kruk.

Nikt im iść nie kazał, — poszli, bo tak chcieli,
bo takie dziedzictwo wziął po dziadach wnuk,
nikt nie pytał o nic, a wszyscy wiedzieli,
za co idą walczyć, komu płacić dług.

Matki się u strzemion synom nie wieszały,
żony się pod nogi nie kładły na próg,
dzieci nie płakały, dzieci nie wołały
ojców, których w polu śmiercią witał wróg.

Poszli śpiewający, krwawym trudom radzi,
ledwie przed świtaniem zagrał złoty róg.
Matki im mówiły:—Niech was Bóg prowadzi,
Zony im mówiły:—Niech was strzeże Bóg.

Tylko ciemną nocą, kiedy po ugorze
szedł zpod czarnych borów głuchy armat huk,
ktoś się cicho modlił w mурowanym dworze,
ktoś w bielonej izbie głową bił o próg“.

[Ed. Słoński, „Powstańcy“, r. 1914.]

leż to razy już na obczyźnie spotykały mnie pytania:
„Przerzucaliście żołnierzy z okupacji przez granice...“.
Wy — to znaczy kto? Jaka organizacja?

Na to człowiek aż zębami zgrzyta, bo... odpowiedź jest
tylko jedna: Cały naród samorzutnie stał się jedną „orga-
nizacją“. Istotne komórki organizacyjne: wojskowe i po-
lityczne działały w rozproszeniu, — dopiero później zdoła-
no nawiązać popękane ogniwa, wciąż rwące się wskutek każ-

ni, aresztowań, zsyłek. W pierwszych miesiącach klęski
każdy, kto czuł się na siłach, tworzył samorzutnie organi-
zację, byle tylko nie patrzeć beczynnie na okupantów, byle
pomódz do dalszej walki.

Typowym przykładem takiej inicjatywy jest historia
jednej ze studentek warszawskich Janki S., którą wojna
zastała na wakacjach u ojca — lekarza na prowincji.

Nawykła do czynnego życia w studenckiej organizacji
zawiązała w miasteczku w sierpniu 1939 roku kółko Ligi
Obrony Powietrznej Państwa (członkami były... 4 student-
ki). Zaczęła robotę od objechania rowerem wielkiej na 8 klm.
rozrzuconej wsi, i wezwania gospodarzy i gospodyń na „ze-
branie u sołtysa“. Tam wyjaśniła im zasady obrony bier-
nej. Chłopy na to, że oni rowów kopać nie będą, bo „ma
bomba trafić, to i w rów trafi“. Wobec tego Janka na dru-
gi dzień sama wzięła za łopatę na sołtysowym polu. Przyk-
ład podziałał.

Wtedy zabrała się do objeżdżania chat i usuwania razem
z gospodyniami ze strychów wszelkich kufrów i gratów,
przygotowania kubłów z wodą, łopat, piachu do zasypywa-
nia bomb zapalających. Okazało się przy tem, że wiele go-
spodarstw ma piwnice zdala od chat, w ogrodach, lepsze od
rowów przeciwdziałkowych. Kazała przynosić do nich
zapasy żywności, świece, ławki, koce, płótno na bandażę
i t. p. i do tych prowizorycznych schronów przydzieliła
mieszkańców sąsiednich chat, mających piwnice pod do-
mem. Wiadomo było, że tam, gdzie nie ma artylerji, Niemcy
będą latać nisko i rzucać celnie w domy.

Zorganizowała straż, czuwającą nad zaciemnieniem
świąteł we wsi, legitymującą obcych przechodniów (walka
z kradzieżami i szpiegostwem). Pouczyła, że w każdym go-
spodarstwie jeden z mieszkańców w czasie rajdu lotniczego
musi czuwać ukryty w pobliżu chaty na wypadek pożaru,
gdy inni siedzą w schronie.

Gdy nareszcie ogłoszono mobilizację, Janka organizo-
wała z pośród miejskich gospodyń grupę, która otworzyła na
stacji kolejowej punkt odżywczy dla rezerwistów, zaopatru-

jący ich też w paczki z żywnością na dalszą drogę. Po trzech dniach zwała się do miasteczka pierwsza fala uchodźców. Trzeba było zorganizować kantynę i schroniska. Lokale dały szkoły i Polska Macierz Szkolna. Janka objechała rowerem okoliczne dwory, które na jej prośbę przysłały słomę i żywność.

Nad porządkiem w miasteczku czuwała straż obywatelska, kierując przybywających do schronisk, dając informacje i t. p. Charakterystyczne, że w tych dniach nie było w kraju nigdzie masowych kradzieży, mimo warunków tak ułatwiających grasowanie.

Gdy odpłynęli dalej uchodźcy, przyszło wojsko, idące na obronę linii Wisły. Znowu trzeba było rozszerzyć robotę: Janka wezwała mieszkańców, którzy już przywykli do brania przez nią inicjatywy, aby zgłaszano, ile kto może przyjąć żołnierzy na kwaterę.

Taka dobrowolna współpraca, wzruszająca swoją naturalnością, szła wtedy w całym kraju. Nikt się nie ociągał, każdy dawał co mógł: kwatery, żywność, wszelką pomoc — darmo.

— Dziś wam, jutro nam, — mówiono.

Z wojskiem przyszedł pierwszy transport rannych. Janka była wtedy na nocnym dyżurze w szpitalu. Cały personel stanowiło trzech lekarzy, cztery pielęgniarki i Janka z jednym z chłopców, który skończył kurs ratownictwa Czerwonego Krzyża. Ta dwójka musiała nosić rannych z pierwszych 11 wozów, które przysły o godzinie 1-ej w nocy. Szpital zapełnił się do ostatniego miejsca, ranni leżeli w korytarzach i w klatce schodowej. Lekarze ustanowili kolejność ratowania przy następnych transportach: lekko rannych odsyłało do N. kolejką dojazdową pod opieką jednej z pielęgniarek, innych po prowizorycznym opatrunku do miasta wojewódzkiego sanitarkami.

Janka musiała wezwać na pomoc ochotników do noszenia rannych do szpitala i z powrotem do sanitarek, które zatrzymywały się paręset kroków od niego, wobec tego, że już

było wiadome, z jakim upodobaniem Niemcy bombardują szpitale i walą z karabinów maszynowych do transportów z Czerwonym Krzyżem na samochodach. Trzeba było unikać natłoczenia i ukrywać samochody pod drzewami.

I trzeba było pomyśleć o tych rannych, którzy nie mogą dostać się do przepelnionych szpitali, szli szosą z oddziałami ciągle przeciągających wojsk. Janka wyprosiła sobie apteczkę Pol. Czerwonego Krzyża z rozbitej pociskiem sanitarki i zakwaterowała się z nią w schronisku noclegowym. Całymi dniami od godz. 7-ej rano do wieczora robiła opatrunki lekko rannym, innych odsyłała do prywatnego mieszkania swego ojca, lekarza, który krążył między szpitalem i tym nowym „punktem operacyjnym”, z trudem znajdując czas na przespanie się parę godzin.

Okazało się jednak, że potrzeby są jeszcze większe: jeden z pułkowników przeciągających oddziałów zwrócił się do Janki z prośbą o objazd okolicznych lasów, gdzie na pozycjach pełno było rannych. Studentka ruszyła do nowej roboty.

W trakcie tego objazdu zauważyła, że rozstawione wzdłuż szosy posterunki żołnierskie nie otrzymują stawy z kuchni polowych, które z jakichś przyczyn nie dojeżdżają do nich. Zorganizowała więc natychmiast po powrocie do miasteczka dostawę żywności dwoma wozami, wysyłając jednocześnie bandaże i opatrunki.

Walki zbliżały się coraz bliżej. Czerwone łuny pożarów oświetlały noc. Linja obrony Wisły załamywała się. Wreszcie wojska zaczęły cofać się na Bug.

Toczyły się bitwy o każdy most. Tylne straże polskie dochodziły nieraz dopiero do połowy mostu, gdy z drugiej strony pędzili nań już Niemcy. A wtedy następowała masakra: most wysadzano w powietrze razem z ostatnim polskim batalionem i niemieckimi tankami.

— Chciałam dojść tam od naszej strony, — opowiadała Janka, opisując jeden z tych bitewnych obrazów. — Ale Niemcy otworzyli taki ogień na nasz brzeg, że nie było spo-

sobu. Oslaniali armatami i erkaemami budowę mostu pontonowego. Strasznie mi było przykro, że tam tyłu naszych rannych leżało, ale nie mogłam dojść. Poprostu nie było przerwy w strzałach.

Szosa pod X. odchodziły ostatnie oddziały polskie. Janka skrzyknęła kobiety z miasteczka. Stały przy drodze z kubkami z kawą, z koszami bułek i kiełbasy, papierosami. W ręce maszerujących żołnierzy wtykały żywność, podawały kubki z napojem.

Ręce szybko, szybko uwijały się od koszów do szeregów, ale w głowach tłuła się uparta, okropna myśl: — Janko? To już koniec?... Koniec! Odchodzą... Jezus, Marja!

Przeszli ostatni. Z lasów nie wychodził już nikt.

Kobiety stały na szosie milcząc, jak skamieniałe. Na prawo świeciły łuny. Na lewo coraz dalej, dalej ginęły szarejące szeregi żołnierzy. Janka kazała towarzyszkom pozierać puste kubki i kosze. W tę stronę obładowane pełnymi biegły, nie czując ciężaru, z pustymi wracały do domów wolno, przygniecione zgryzotą.

Janka została jeszcze... na straży. A może jeszcze przyjdą nasi... Może to jednak nieprawda...

Stała pod drzewem wpatrzona w ginącą w dali wstęgę szosy. Dzień wstawał słoneczny, znów tak błękitny, jak wszystkie dni tego straszego polskiego września. Wlekły się minuty, kwadransy, przeszła godzina, dwie. Na szosie zaczerniało coś w dali...

Janka wyteża wzrok. Idą... Tak... Cała kolumna...

Byli to... Niemcy...

Na drugi dzień Janka wyprowadziła znowu swój rower. Ruszyła na objazd okolicznych lasów. Znała je od dziecka. Zapuszczała się w wąwozy, zarośnięte haszczami krzaków i dzikich jeryn, broniących dostępu kolumnami. Przebiegała gęstwiny. Zostawiając rower na polankach, przesuwiała się

pod zwisającymi nisko gałęziami starych drzew, ku sobie nawet nieznanym zakątkom. Prowadziły ją ślady: złamana gałązka, zdeptany kwiat leśny, ogryzek papierosa, skórka od wędliny. Zjawiała się nagle, przy ukrytych w gąszczu niedobitkach pułków. Podawała ostatnie informacje: przedzierać się na Lublin, lub pod Warszawę. Wracając do miasteczka, obchodziła mieszkania swych niedawnych towarzyszek i towarzyszy pracy, zbierając żywność, którą potem w nocy zawoziła wozem do oczekujących w lesie.

Niedość było jednak dostarczyć im żywności, trzeba jeszcze drogę od Niemców wolną wypatrzeć. Janka na swoim rowerze kręciła się ustawicznie po okolicy, mimo przeciągających niemieckich oddziałów, porozumiewając się ze znajomymi o przygotowanie kryjówek i jedzenia dla przemycających się grup żołnierzy.

Tak było do upadku Warszawy. Potem przyszły wieści, że Chełm jeszcze się broni, że toczy się partyzantka, że kędyś tam, na wschodzie gen. Franciszek Kleeberg stworzył nową armię i bije się dalej.

A wreszcie jednego wieczora miasteczko drgnęło: wjeżdżał oddział polskiej kawalerji. Około 100 ludzi w pełnym uzbrojeniu. Patrol! Nasi wracają!... Niestety. Strzelcy konni z pod Lwowa przedzierali się do Warszawy, nie wiedząc o klęsce.

Miasteczko zaroilo się; na trzy wozy żołnierskie wkładano co rychlej ciepłe swetry, palta, żywność. Niemcy byli o dwa klm. Trzeba było spiesznie ukryć „chłopaków” w lasach, przebrać, pomódz w przedostaniu się bądź do partyzantki na wschodzie, bądź zagranicę do nowej armji, kędyś tam w dalekiej Francji powstającej.

Janka naturalnie ruszyła w ślad za oddziałem, z doświadczenia już przewidując, że w pośpiechu na pewno o czemś zapomniano, co jest potrzebne oddziałowi. Jakoż dowódca prosił o jaknajwiększą ilość bielizny, dając pieniądze na zakup.

Gdy Janka wchodziła z powrotem do miasteczka, — już buszowali po niem Niemcy, dobierając się do sklepików. O gotowej bieliźnie męskiej marzyć nie można było. Kupiła więc wszystką flanelę, jaką mogła dostać i zmobiliowała wszystkie szwaczki. Szyły całą noc i dzień.

Wieczorem Janka najspokojniej władowała na wóz i odwiozła „garnitury” na umówione miejsce, nie zwracając uwagi na Niemców, rozbijających się po ulicach.

W wiosce jednak nie było już żołnierzy. W nocy przybiegł jeden z chłopców wiejskich z wiadomością, że „Szwa-by idą” i oddział wycofał się do lasu. Jeden z parobków odebrał wóz i ścieżkami kołując odstawił go na wiadomą sobie polanę.

Janka na drugi dzień — oczywiście — dotarła do leśniczówki, gdzie zastała już tylko jednego z rannych oficerów. Okazało się jednak, że w owej zajętej przez Niemców wiosce został drugi ranny oficer, który miał u siebie całą kasę oddziału — 27.000 złotych. Studentka przemknęła się pomiędzy niemieckim żołdactwem, dotarła do rannego i zabrała pieniądze. Dostarczywszy kasę na leśniczówkę, wróciła z pokwitowaniem.

Tymczasem na drugi dzień przyszedł do wsi goniec z oddziału, że czekają na pieniądze. Janka pojechała szukać „skarbnika”, znalazła go daleko — w wojewódzkim mieście. Okazało się, że oddział zmieniając ciągle miejsce pobytu, stał się poprostu nieuchwytny. Nawet tak znająca okoliczne lasy i wąwozy Janka napróżno go szukała.

Odnalazła zamiast nich grupę kilkunastu innych żołnierzy, proszących o pomoc w przedostaniu się zagranicę.

Zaczynał się nowy rozdział w historii polskiego wojska: „turyści Sikorskiego”, mniej lub więcej obszarpane „cywile”, pojawiające się na Węgrzech, Rumunji, w Grecji, Jugosławii i wszędzie „niewinnie” tłumaczące, że jadą „do rodziny” we Francji.

Janka stała się łącznikiem pomiędzy posiadającym owe 27.000 zł. oficerem, a dwoma grupami przyszlých „turystów”. Pierwszem zadaniem stało się wyrobienie fałszywych przepustek przez linię demarkacyjną (t. zw. „lewe” dokumenty były w szerokim obiegu, podobnie, jak „pralnie” paszportów). Pozatem trzeba było zdobyć „trasę” czyli dowiedzieć się, jakie drogi przez granice są jeszcze możliwe, najmniej strzeżone, i poznać przewodników. Wszystko to „wściekle” kosztowało. Za wynajęcie furmanki na 60 klm. płacono się 500 złotych. Przewodnicy narażający własne głowy musieli też być dobrze opłacani. Wielu z nich rozstrzelali Niemcy lub bolszewicy.

O mały włos nie spotkało to i Janki. Wracając z lasu po dostarczeniu swoim „turydom” cywilnych ubrań, zabrała 4 rewolwery i 2 granaty, żeby je zakopać w dobrej kryjówce. Gdy przeszła już bramę swego domu, za nią pojawił się oddział Niemców.

W mieszkaniu zastała 6 oficerów niemieckich, dokonywujących zwykłego rabunku pod pretekstem rewizji. Ojciec był nieobecny. Janka weszła do swego pokoju i słysząc kroki Niemców zbliżające się do drzwi, cisnęła broń na półkę w szafie, przewracając niemłosiernie bieliznę, bluzki, krawaty i t. p., aby wywołać wrażenie nieładu. Niemcy zatrzymali się w gabinecie jej ojca, zabierając apteczkę P. C. K., narzędzia lekarskie, niektóre książki z biblioteki, cenne bibeloty-podarunki pacjentów.

Gdy weszli do jej pokoju, Janka siedziała spokojnie na kanapce, zając owocami. Otworzyli szafę, z szuflady zabraли figurki ze słoniowej kości i jednym machnięciem ręki wyrzucili na podłogę zawartość najwyższej półki. Pofręnęły na podłogę dziewczęce stroje.

Zaszwarzotali coś, roześmieli się i — nie ruszając środkowej półki — poszli do salonu grać na pianinie modne niemieckie „szlagiery”. Muzykowali do 11 w nocy, wreszcie wynieśli się, zapowiadając, że wrócą następnego dnia, bo im się „pianino podobało”.

Janka pojechała do Warszawy. Miała tam do załatwienia pewne sprawy. Stolica również pełna była przygotowań „turystycznych”. Stamtąd „machnęła się” nad granicę sprawdzić szlaki. Wskazany przewodnik już nie żył — zastrzelony, byli jednak inni. Wobec tego Janka „skoczyła” do swego wojewódzkiego miasta, by odebrać „lewe dokumenty”.

W cukierni, gdzie wstąpiła dla zobaczenia się z kimś z „turystów”, do stolika jej przysiadło się dwóch niemieckich oficerów bez proszenia o pozwolenie. I dalej zagadywać do niej. Janka zagryzła wargi, wstała, zabrała swoje palto z poręczą i nie czekając na kelnera podeszła do bufetu, by zapłacić za herbatę.

Niemcy oburzyli się: Niestychane! Polka śmie ostentacyjnie odmawiać rozmowy z przedstawicielami „narodu panów”.

Janka już była na ulicy i kupowała od ulicznego sprzedawcy papierosy, gdy podszedł do niej jakiś mężczyzna: — Czemu pani tak ostentacyjnie wyszła z cukierni?

— Jeżeli pan jest Polakiem, to rozumie pan moją intencję, — odparła chłodno.

— Dziwię się bardzo. Dla pani to zaszczyt rozmowa z niemieckimi oficerami.

Janka odwróciła się, chcąc iść dalej, ujął ją za ramię. — Pani pozwoli ze mną.

— Nie ma pan prawa zatrzymywać mnie. Ja nie chcę z panem rozmawiać.

Ale tu, jak z pod ziemi, wyrósł przy niej drugi szpicel, po polsku mówiący. I zaprowadzili dziewczynę na przesłuchanie do Gestapo. Obaj zeznali, że mają ją już oddawna na oku, że ustawicznie zmienia adresy, porozumiewa się z jakimiś panami, którzy ni stąd ni zowąd pojawiają się w mieście.

— Pani pokaże swoje dokumenty, — rozporządził Gestapowiec, jakiś starszy oficer.

— Nie mam żadnych.

— Gdzie pani mieszka?

Akurat Janka będzie tak naiwna, żeby podawać prawdziwy adres. Zmyśliła naprędce dość odległą od jej miasteczka miejscowość.

— Co pani robi tutaj?

Co tu odpowiedzieć? — Staram się dostać na uniwersytet.

Koniec końców nic się oczywiście od niej nie dowiedzieli. Nagadali jej tylko nauk, jak ma się zachowywać, jeżeli Niemiec zaszczyti ją rozmową i wypuścili z pogróżką, że oni wiedzą wszystko, czego chcą się dowiedzieć.

„— My tu mamy znajomych, którzy nam dużo mogą pomóc. Radzimy nie doprowadzać do tego, żeby pani się tu drugi raz zjawiła, bo wtedy będzie źle”.

Było to jeszcze w początkach okupacji i bliżej wschodniej linii demarkacyjnej, gdzie Niemcy nie wypuścili jeszcze tej sfory zbrojeńców, jaką rzucili na Polskę Zachodnią, a w listopadzie na Warszawę.

Jance „upiekło się” tym razem. Było jednak pewne, że szpicle będą teraz za nią łązić. Jeśli pozostanie w swej okolicy, może „wspać” bezwolnie całą „robotę”. Janka nie namyślała się długo, pojechała do domu, zgarnęła najpotrzebniejsze rzeczy do ręcznej walizki i pojechała do Warszawy, a stamtąd, ruszyła po swoją „leśną kompanję”.

I powtórzyła się scena — jedna z tysiąca wówczas odbywających się w całej Polsce:

— „*Matki im mówiły: — niech was Bóg prowadzi.
Żony im mówiły: — niech was strzeże Bóg.*”

Nie żegnali się z żonami Janki towarzysze : — ich żony w Poznańskim pozostałe zesłali Niemcy do obozów koncentracyjnych, skąd w zimie przybywały do Krakowa, Kielc i innych miast Małopolski pociągi ze zmarzniętymi trupami.

Matkę zastąpiła tym żołnierzom pani S., która Jankę od maleńkości znając żegnała ich na ostatnim w jej rodzinnej okolicy postoju. Staruszka uklękła przed obrazem Matki Boskiej, głośno odmawiając litanję :

„Królowo Korony Polskiej, módl się za nami” — błagalnym chórem powtarzali za nią żołnierze.

Nie o siebie modlili się ci, którzy szli Ojczyźnie służyć daleko od jej granic. W oczach tych straceńców przesuwały się obrazy polskiej niewoli. W ich mózgach dzwięczała już modlitwa, odmawiana w dzień Matki Boskiej 8 grudnia 1940 r. przez polskiego pisarza w czerwonej od pożarów i pełnej huku bomb stolicy Wielkiej Brytanji.

*„Przez śmierć obrońców Warszawy — wybaw nas, Panie.
Przez wsie w Radomskim i Lubelskim wymordowane
do ostatniego człowieka przez Niemców — wybaw nas,
Panie.*

*Przez męczeństwo 120 mieszkanców Wawra i Anina
wymordowanych przez Niemców — wybas nas, Panie.*

*Przez męczeństwo uczonych polskich, wymordowanych
w obozach Dachau, Oranienburga i Buchwaldu —
wybaw nas, Panie.*

*Przez kaźń księży polskich pod Gdańskiem i w
więzieniu wisznickiem — wybaw nas, Panie.*

* * *

*O wojnę powszechną za wolność ludów-prosimy Cię,
Panie“.*

Krzyżyk na czołe macierzyńską ręką staruszki skreślony i ze dworu wysunęły się cicho postacie, jedna za drugą znikające we mgłę deszczowego ranka.

Za nimi zostawała Polska Cierpiąca, przed nimi były nocne marsze przez obstawione strażami granice, obozy odosobnienia w „sprzymierzonej” Rumunji i na Węgrzech przyjaznych. Były słowa Mussoliniego „La Polonia e liquidata” i hiszpańskiego Franco pyszne : „Naród, który nie umie obronić swej niepodległości, nie jest jej wart”.

I przed nimi były góry Norwegji, Narwik i pola Francji, epepeja „Orła”, szalone męstwo polskich lotników w bitwie nad Anglją i polskich marynarzy „Pioruna” w bitwie z „Bismarckiem”.

Przed nimi było wieko grobu Polski, odrzucone precz sławą polskiej armji wychodźczej. Przed nimi była Wolna Polska, przez polskiego żołnierza-uchodźcę, rzucająca wrogom groźne : — Wrócimy !

Przez granice uciemżonego kraju przekradali się ochotnicy do armji.

„Nikt im iść nie kazał... Poszli, bo tak chcieli”.



Biblioteka Główna UMK



300051141202

Arch. Emigracji
Biblioteka

Główna
UMK Toruń

1382160

Biblioteka Główna UMK



300051141202

21